

Miłość po szkocku. Podróż do Polski.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecińczych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniła o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Polski krajobraz

Anna Habryn

Rozdział 5

Mary miała zaproszenie do Anglii, na wesele. Właśnie załatwiała sobie rezerwację biletu na pociąg, kiedy wpadło jej w oko: „Lot do Polski po obniżonej cenie”. A może by...? Czy starczyłoby jej odwagi? Problemy językowe skomplikują sprawę, poza tym siostra Jana, Seweryna, pisała, że wyjeżdża na wakacje nad Bałtyk, ale tak czy inaczej, Mary przecież miała w torebce jej numer telefonu!

Była świadoma, że jej zasób polskiego słownictwa nie wystarczy, żeby załatwić cokolwiek przez telefon, ale ten problem można było rozwiązać. W Kirkcaldy była duża grupa Polaków, a Jan był tam kiedyś dość znany i lubiany. Mary poszła więc do polskiego klubu w nadziei, że ktoś tam sobie jej ojca przypomni.

Wszystko tu wyglądało jak dawniej. Wróciły wspomnienia: zobaczyła oczyma wyobraźni Jana, młodego, wesołego mężczyznę przy karcianym stoliku, pijącego z innymi wiśniówkę. To był bardzo patriotyczny klub, bardzo polski. Na wysokim maszcie przed budynkiem powiewała – tak jak dawniej – polska flaga, na

cementowym postumencie rozpościerał skrzydła Biały Orzeł. Pod pomnikiem generała Sikorskiego, jak przed laty i jak zawsze, stał wazonie bukiet białych i czerwonych kwiatów.

Poszukała kierownika, przedstawiła mu się. Wyjaśniła, że chciałaby pojechać do Poznania, do ciotki, ale nie dogada się z nią przez telefon, chociaż ciotka zna jej głos, więc może on zechciałby porozmawiać w jej imieniu?

- Ależ to żaden problem, proszę pani.

- Oh, bardzo panu dziękuję - powiedziała.

Ta rozmowa telefoniczna była zabawna i bardzo kosztowna. Seweryna była w domu. Mary odezwała się pierwsza, przedstawiła się, a potem oddała słuchawkę „tłumaczowi”. Powtarzał jej głośno po angielsku, co po tamtej stronie mówiono po polsku, a wszyscy klienci baru słuchali tego z wielkim zainteresowaniem. Gospodarz brylował w roli tłumacza, błyszczał elokwencją i po jakichś dwudziestu minutach Mary wreszcie była pewna, że Seweryna przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Z Manchesteru miała lecieć do Amsterdamu, a potem do Warszawy.

Gorączkowo usiłowała nauczyć się trochę więcej polskiego. W każdej wolnej chwili wypisywała ze słownika polskie słówka i ich angielskie odpowiedniki.

Jej rodzina w Anglii uważała, że Mary zwariowała. Co będzie, jeśli wsiądzie do niewłaściwego samolotu? Czy będzie umiała zatelefonować? Im bardziej byli negatywnie nastawieni, tym bardziej Mary się utwierdzała w swoim postanowieniu. To była jej szansa sprawdzenia się.

Tak czy inaczej, było już za późno na wątpliwości, jej podróż do Warszawy była opłacona. (...)

.Dwie godziny przed odlotem, była naprawdę w drodze do Polski.

Mary siedziała blisko kabiny załogi. Samolot nie był pełny. Lot miał trwać trzy godziny, niedługa podróż. Wyjęła swój polski słownik i zaczęła wypisywać wszystkie te podstawowe słówka, których będzie musiała użyć: bilet, proszę, itp.

Stewardessa zapytała:

- Skąd pani pochodzi?
- Z Australii - odpowiedziała Mary - ale z urodzenia jestem Szkotką.
- O - ucieszyła się - nasz pilot jedzie do rodziny w Australii. Do Perth, czy pani tam była?
- Mieszkam tam.

Stewardessa zniknęła i wróciła z butelką szampana.

- Dziękuję - rzekła Mary - czy mogę ją zabrać do mojej ciotki w Poznania?
- Damy pani drugą. Kapitan chciałby z panią porozmawiać.

Czuła na sobie oczy wszystkich pasażerów, kiedy dziewczyna prowadziła ją do kabiny załogi. To było naprawdę podniecające. (...)

Zniżali się do lądowania. Miała wylądować na polskiej ziemi!

Na prawo od skrzydła samolotu pojawił się napis: WARSZAWA. Pięknie czerwony i biały, wspaniały, aby widzieli go wszyscy wracający synowie Polski. Och, gdyby Jan mógł być tu razem z nią! Włożyła w patrzyenie całe serce, musiała ten moment wchłonąć, żeby przekazać go staremu człowiekowi, jej ojcu, tam w Perth. (...)

W taksówce, była już sama. Przejechali Wisłę. Ulice wydawały się Mary podobne do Paryża, podobały jej się ozdobne budynki. Jakieś muzeum przypomniało jej Edynburg. Ludzie wyglądali na zdrowych i zabieganych. Młodzi ludzie, szczególnie nastolatki, byli na ogół jasnowłosi, dobrze zbudowani, a dziewczęta miały w sobie coś bardzo polskiego, cokolwiek to było, wyglądały inaczej niż Australijki czy Szkotki, były bardzo kobiece, pięknie opalone, o złotej skórze.

Dworzec kolejowy wydawał się tkwić w środku wielkiej przelotowej arterii. Mary zapłaciła kierowcy 30 złotych, co - pomyślała - było tanio, *cheap*, i udała się prosto na stację. Wszystko wydawało się takie proste. (...)

Pociąg był śliczny, czysty, wygodny, dla niepalących. "British Railways, ucztujcie się od Polskich Kolei". Jan mówił jej, że w Polsce mieli wspaniałe pociągi, ale - Boże, to było w 1938. "Widocznie pociągi są tu ważną rzeczą, skoro koleje dorównują ciągle wspomnieniom Jana."

Czuła się trochę zmęczona, ale zdecydowanie nie zamierzała spać. Podano gorącą herbatę i kawę. Wybrała to drugie, a do tego polskie ciastko. Za darmo. Była naprawdę pod wrażeniem. (...)



Polski kajobraz

I oto nareszcie została cudownie pozostawiona sam na sam z krajobrazem. Mijali osobliwe miejsca, chłopci na polach czasem podnosili spojrzenie na przejeżdżający pociąg. Trwały żniwa, koszone pola. Nie widziała wspaniałej żniwnej maszynery, jaką mają farmerzy w Australii. Widziała natomiast konny zaprzęg i starego chłopca idącego za pługiem. Widziała traktory, ale na polach było dużo więcej ludzi w porównaniu do tego, co widzi się w Australii.

Pociąg zwolnił bieg, mijając jakąś bocznicę kolejową, pełną starych wagonów towarowych. Mary poczuła nagle, jakby się cofnęła w czasie o 50 lat. Gdzieś w jej

pamięci tkwiło ciągle bardzo żywe dziecięce wspomnienie Polski z wojennych kronik filmowych. Były tam właśnie wagony, stare wagony o drewnianych ścianach, takie jak te, ciągle jeszcze tkwiące na jakichś bocznych torach. W jej pamięci uwoziły one ze stukotem ludzki ładunek, trzymany przemocą, uwięziony w skrzyniach na kołach. Ich przeznaczeniem było piekło. Wyobraźnia - raz pobudzona - nie dawała Mary spokoju. Patrzyła przez szybę jak urzeczona. Nie śniła, czuła w przestrzeni za oknem duchy unicestwionych ludzi, ciągle nie mogące spocząć, błakające się dookoła. Widmowo przepływały za oknem wioski budzone w środku nocy, czuła ich strach, brzmiało echem wołanie o pomoc, którego nie chciano słyszeć. Pięć długich lat podporządkowanych "diabłom z Niemiec". Te myśli ciągnęły się, kilometr za kilometrem. Ta ziemia była tak płaska, tak łatwo dostępna dla czołgów, ciężarówek, nawet rowerów. Warszawa była dokładnie na drodze na wschód, w prostej linii od Berlina.

Chyba usnęła. Obudziła się, kiedy dojeżdżali do Poznania. Teraz domy były podobne do przedmieść Paryża lub Szkocji. Widziała stare kamienne budynki, domki dla robotników, które wytrzymały próbę czasu. Nowe trafiały się rzadko, ale można je było łatwo rozpoznać po kolorowych dachówkach.

Pasażerowie zaczęli się ruszać. Młody człowiek zaoferował się, że poleci taksówkarzowi jechać pod adres, który Mary trzymała mocno zaciśnięty w ręce. Kiedy schodzili na peron, jego śliczna dziewczyna już czekała. Objęli się, jak to czynią zakochani, a Mary zatrzymała się z tyłu, żeby nie przeszkadzać im w tej ich chwili miłości. Młody człowiek uwolnił się z uścisku i powiedział:

- Ta pani jest Australijką.

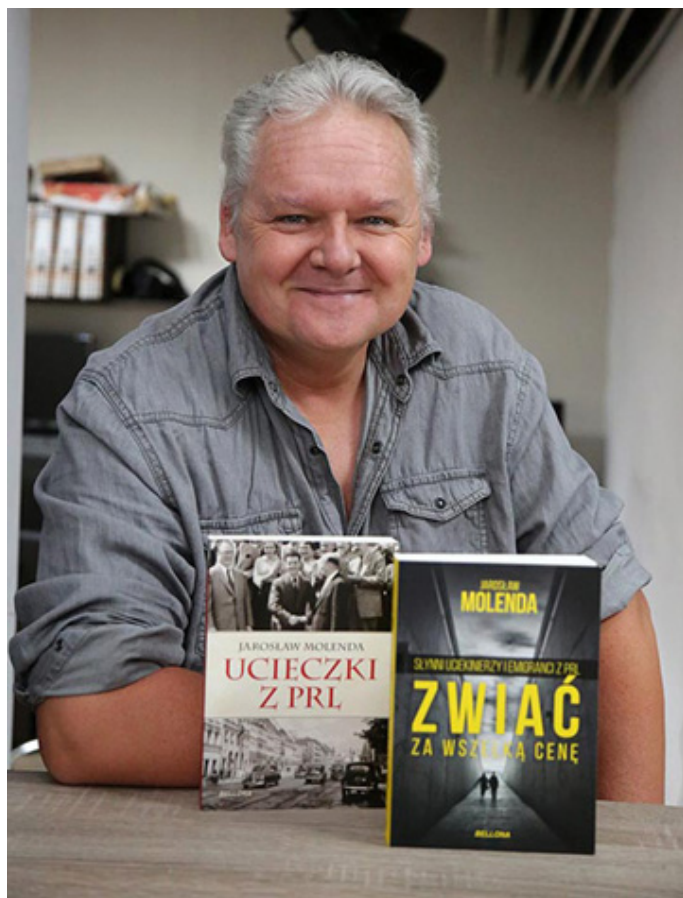
Dziewczyna potrząsnęła ręką Mary i zarzuciła ją pytaniami, a jej chłopak z twarzą zarumienioną z emocji, nie mógł się doczekać, żeby wsadzić Mary do taksówki. Pomachała do nich ręką przez tylną szybę:

"Żegnajcie, młodzi kochankowie, Bóg z wami, wolni żeby kochać, wolni żeby żyć."

Rozdział 6 ukaże się w poniedziałek 8 maja 2017 r.

„Zwiąć za wszelką cenę” Jarosława Molendy: Dlaczego uciekali z PRL-u?

Barbara Lekarczyk-Cisek



Jarosław Molenda i jego publikacje, fot. Sławomir Ryfczyński.

Pasjonujące historie, skłaniające do refleksji nad meandrami ludzkiego losu, nie tylko w czasach PRL-u.

Książka **Jarosława Molendy**: „Zwiąć za wszelką cenę. Słynni uciekinierzy i emigranci z PRL” zawiera dziewięć biografii, z których każda jest właściwie materiałem na książkę. Historie bohaterów różnią się od siebie niekiedy diametralnie, inne są także ich motywy i losy w tzw. wolnym świecie. Autor przegląda uważnie rozmaite źródła, aby oddać możliwie najrzetelniej cechy ich osobowości, zrozumieć, dlaczego właśnie oni i w jakich okolicznościach dokonali wyboru, a wreszcie – jak potoczyły się potem ich losy. Nie zawsze udaje mu się to rozwikłać i bywa, że pozostajemy z uczuciem niedosytu, ale nie jest to przecież żadną wadą. Przeciwnie, staje się zachętą do przemyśleń.

Jarosław Molenda próbuje we wstępie dociekać, jakie są mechanizmy łączące te wszystkie ucieczki. Dochodzi jednak do wniosku, że osoby te nie łączy zgoła nic, tak są różne.

Ważniejsze są warunki duchowe pracy artystów przebywających poza ich macierzystym krajem – konkluduje autor – ale i tu nie istnieją reguły obowiązujące wszystkich emigrantów. Jedni giną na wygnaniu, inni znajdują tam dobre warunki dla swojej pracy.

Potwierdzałyby to casus **Marka Hłaski**, który na emigracji się nie odnalazł, w przeciwieństwie do **Jerzego Panufnika**, którego kariera rozkwitła, choć i on nie czuł się w nowych warunkach komfortowo.

Pierwszą uciekinierką, której pozostanie na Zachodzie odbiło się szerokim echem, była baletnica Mazowska – **Krystyna Bujnowska**. Stało się to podczas pobytu zespołu w Paryżu i wcale nie było takie łatwe, zważywszy, że młodzi artyści mieli zawsze opiekunów ze służby bezpieczeństwa. Krążyły nawet na ten temat przeróżne żarty, jak choćby ten o skrzypku, który marzył o zagranii na Stradivariusie i tłumaczył swemu „stróżowi”, że to przeżycie podobne do tego, gdyby pozwolono mu wystrzelić z rewolweru Dzierżyńskiego. Bujnowska szczęśliwie nie musiała nic tłumaczyć – po prostu nikt jej o to nie podejrzewał. Udzieliła też wywiadu dla Radia Wolna Europa, którego można dziś posłuchać bez zagłuszania i w którym wyraża radość z powodu nagłej sławy (jej fotografie ukazały się we francuskich gazetach) i w ogóle jest zachwycona.

Krystyna Bujnowska nie miała w Polsce żadnej rodziny, tym bardziej więc pragnęła

połączyć się z mieszkającą w Stanach Zjednoczonych ciotką. Wyszła za mąż za Polaka i oboje podtrzymywali polskie tradycje, m.in. ucząc dzieci języka polskiego. Niestety, autorowi książki nie udało się dotrzeć do rodziny, nie wiadomo więc, jakie były dalsze losy pierwszej uciekinierki. Wiadomo natomiast, że dzięki niej zrobił się medialny szum wokół zespołu Mazowsze i widzowie gęsto wypełnili widownię. Jak się nietrudno domyślić, nikt tego nie rozumiał i nie docenił, przeciwnie – dziewczyna została napiętnowana przez członków zespołu, nie wspominając już o komunistycznych władzach. Ale i tak nie była ostatnią, która odważyła się na taki krok, bo był to krok w stronę wolności.

Najbardziej tajemniczym uciekinierem na Zachód był – i nadal takim pozostał – **Józef Światło**, pułkownik UB, którego opowieści o zbrodniach reżimu, mimo że sam brał udział w zbrodniczym systemie, wpłynęły znacząco na bieg historii. Audycje radiowe, w których podawał wiele skrywanych dotąd faktów, przyczyniły się bowiem do zmian szeregach partyjnej elity (uwolniono m.in. Władysława Gomułkę i innych aresztowanych), ale przede wszystkim – wypuszczono wreszcie polskich żołnierzy przetrzymywanych w ZSRR. Dlaczego Światło uciekł i zeznawał – nie wiadomo tego do dziś. Istnieją hipotezy, że był agentem Moskwy i został wysłany za Zachód po to, aby przyspieszyć zmiany, które nastąpiły po śmierci Stalina. Nie wiadomo także, co działo się ze Światłą potem. Prawdopodobnie, podobnie jak Ryszard Kukliński, otrzymał nową tożsamość, zacierano wszelkie prowadzące do niego ślady i mylono tropy. Dopiero w 2008 roku IPN wystąpił do USA o odtajnienie dokumentów CIA, gdyż rozpoczęło się przeciwko



Światle postępowanie. Jak się bowiem okazało, przyczynił się on do aresztowania ok. 150 członków AK, których potem torturowano, zabijano lub wysłano do łagrów. Jednak w odpowiedzi uzyskano tylko lakoniczną informację, że Józef Światło zmarł 2 września 1994 roku w Stanach Zjednoczonych. Kolejne pisma pozostały bez odpowiedzi. Pozostaje mieć nadzieję, że zarówno w tej, jak i innych sprawach odpowiedzi należy szukać w archiwach NKWD...

Książka Jarosława Molendy o uciekinierach z PRL jest rzetelną, choć nie pierwszą publikacją na ten temat. Znajdziemy w niej - oprócz wspomnianych - także biografie Piotra i Mieczysława Ejsmontów, Stefana Korbońskiego, Władysława Kozakiewicza, Stanisława Mikołajczyka, Andrzeja Panufnika i Tadeusza Teodorowicza. Pasjonujące historie, skłaniające do refleksji nad meandrami ludzkiego losu, nie tylko w czasach PRL-u. Może tylko tytuł publikacji niezbyt fortunny, bo zbyt pospolity i tabloidowy.

Jarosław Molenda: „Zwiąć za wszelką cenę. Słynni uciekinierzy i emigranci z PRL”, wyd. Bellona 2017 r.

Tłumacz wytrawny - Karl Dedecius

Florian Śmieja



*Do Pana Śmieji
Florianus*
Karl Dedecius

Karl Dedecius, fotografia z dedykacją dla
Floriana Śmieji, arch. FŚ.

Nazwisko pochodzącego z Łodzi Karla Dedeciusa, wybitnego niemieckiego tłumacza literatury polskiej, wymienia się dziś w Polsce w gronie największych naszych przyjaciół i ambasadorów na Zachodzie. Nic więc dziwnego, że posypały się na niego nagrody, wysokie odznaczenia i honory. W czerwcu 2002 roku odebrał kolejny doktorat honoris causa w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

Ale początki jego chwalebnej drogi nie były ani proste, ani łatwe.

Było to w marcu 1958 roku, kiedy wśród listów do redagowanego wówczas przeze mnie *Merkurusza Polskiego* znalazło się pismo z Niemieckiej Republiki Federalnej, w którym nie znany mi korespondent donosił o planowanej przez siebie antologii współczesnej poezji polskiej. Prosił o udostępnienie mu tekstów i danych

biograficznych młodych polskich poetów mieszkających na Zachodzie. Pukał do różnych drzwi, ale trudno mu było zdobyć potrzebne materiały. Informował równocześnie o pośpiechu, gdyż miał napięty harmonogram wydania.

Postanowiłem na apel odpowiedzieć i bezzwłocznie wziąć się do rzeczy.

Nie zdołałem nakłonić do współpracy z niemieckim entuzjastą mieszkającego wówczas w Londynie miłośnika poezji, Józefa Jaksinskiego. Miał on pokaźną bibliotekę nowości poetyckich. Choć go nie przekonałem, postawił do mojej dyspozycji swoje zbiory, a ja skwapliwie z nich skorzystałem. Wybrałem stos tomów, bodaj 29 i wysłałem trzy paczki do Niemiec. Jaksiński miał zastrzeżenia m.in. do pośpiechu całego przedsięwzięcia obawiając się, że owoc nie będzie najlepszy. Do wybranych tomów dodałem listę autorów z danymi bio-bibliograficznymi i wysłałem do Heilbronn Karlowi Dedeciusowi, bo tak się nazywał autor listu. Wymieniliśmy szereg listów i pocztówek dla uściślenia niektórych danych biograficznych. Nie upłynął rok, kiedy wyszła antologia *Lektion der Stille*. Była to pierwsza jaskółka, ale jak się miało wnet okazać, stanowiła ona nie tylko o wiosnie, ale o bogatym lecie nad spodziewanie urodzajnym w piękne przekłady i liczne edycje.

Te wiersze 36 poetów z Polski i z emigracji ukazały się w prestiżowym wydawnictwie Carl Hanser Verlag w Monachium przy hucznym aplauzie krytyków niemieckich. Tłumacz przysłał mi plik kilkudziesięciu (z czasem było ich dwieście) recenzji pisanych przez wybitnych pisarzy i krytyków wśród których znaleźli się Heinz Piontek, Marcel Reich-Ranicki i Karl Krolow. Podkreślali oni niezwykłość publikacji, talent tłumacza, biegłą orientację w przedmiocie, różnorodność i dobrą klasę polskich autorów. Tak zaczęła się niezwykła kariera człowieka, tytana pracy i miłośnika poezji, prelegenta i twórcy, a potem wieloletniego dyrektora Deutsches Polen Institut w Darmstadt, laureata wielu nagród, doktora honoris causa szeregu uniwersytetów, wielkiego ambasadora polskiej literatury w Niemczech.

Od samego początku kariery tłumacza, toczącej się przez wiele lat na marginesie pracy zarobkowej, Dedecius wierzył w szanse poezji polskiej na rynku niemieckim.

Pisemne krytyki pokazują - pisał - że na ogół technika i jakość poezji polskiej zaskoczyły wszystkich. Podkreśla się niezłomną wolę twórczą, nowoczesność sformułowań, głębię wstrząsających przeżyć. Nie brakuje głosów, które tę nową

lirykę polską przyrównują do najlepszej młodej liryki niemieckiej, a niektórzy twierdzą, że jest od niej lepsza...

Niemniej urodziny tej antologii były zgoła dramatyczne. Kompilowanie tekstów wierszy i zdobywanie wiadomości biograficznych w latach pięćdziesiątych nastroczało wiele trudności, dziś zupełnie niezrozumiałych i absurdalnych. Adresaci próśb często nie odpowiadali na nie, źródła były mało dostępne, więc w efekcie przypadkowe. I tak w pewnym momencie, kiedy Dedecius chciał drukować w jakimś niemieckim czasopiśmie wybór młodych polskich poetów emigracyjnych, miał do dyspozycji jedynie kilka numerów krakowskiego czasopisma *Zebra* i teksty wierszy w tych numerach pomieszczone (m.in. Zygmunta Ławrynowicza). Posiadając tylko bardzo skromną biblioteczkę polskich poetów, musiał prosić o przepisywanie mu na maszynie dostępnych innym tekstów (były to czasy przed kserograficzne).

Otrzymawszy moje trzy paczki z Londynu, Dedecius pokwitował ich odbiór z entuzjazmem mówiąc m.in.

...Gdyby Pan nie był mi przysłał książek tak szybko, wówczas nie dotrzymałbym terminu majowego a wtedy antologia nie ukazała by się na jesieni, ale dopiero na wiosnę.

Zawiadamał przy tym, że mimo tak krótkiego terminu, pracował nad przekładami starannie i dokładnie zapewniając, że żadnego autora nie skrzywdził.

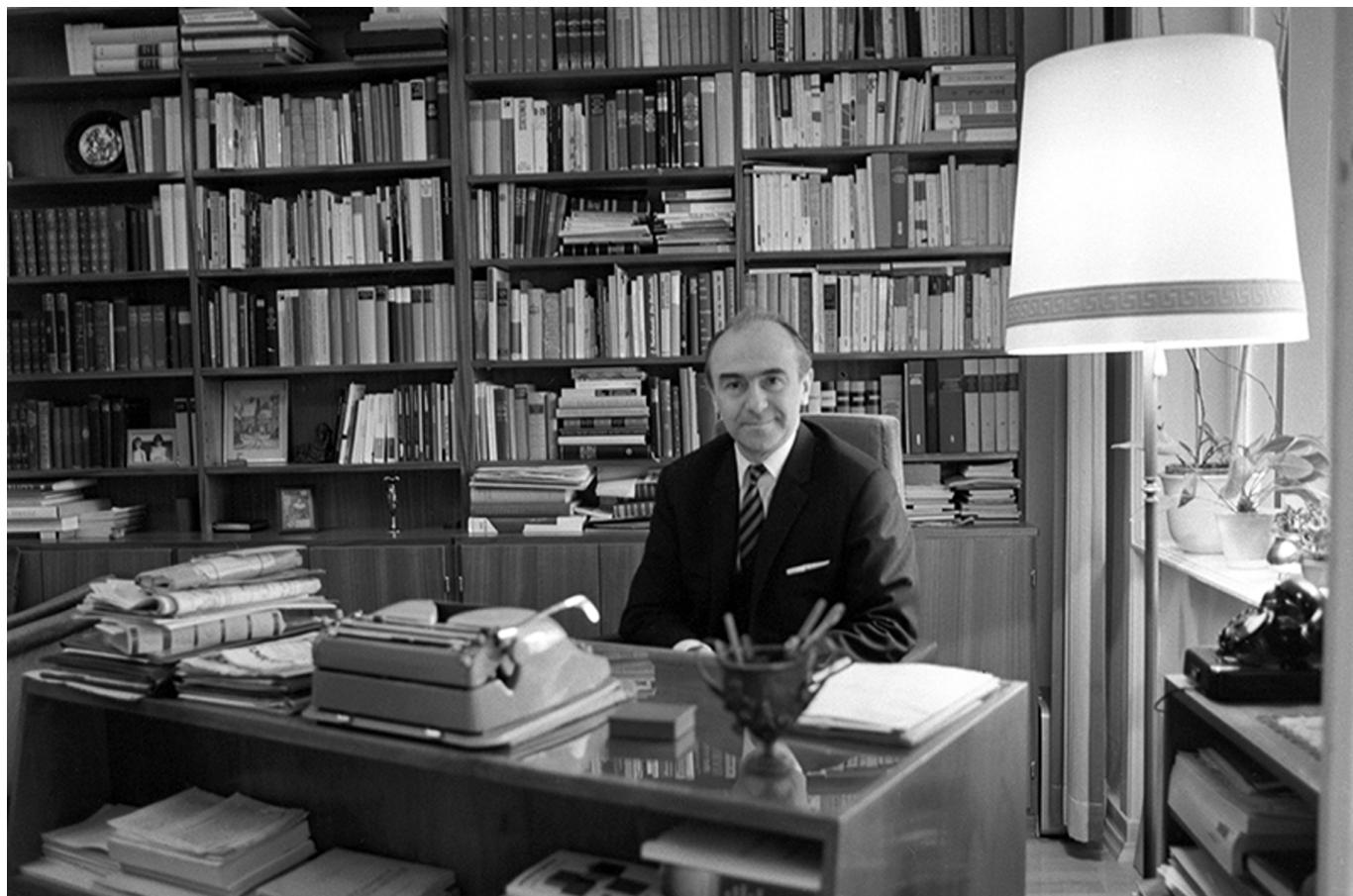
Potem jednak, nie mogąc doczekać się z Polski obiecanych danych biograficznych, chciał sam pojechać do Warszawy, miał nawet jakieś zaproszenie, więc zaczął ubiegać się o wizę. Nawiązał kontakt z attaché kulturalnym Raczkowskim, ale mimo nieustanych zapewnień, wizy nie otrzymał, zwodzony do końca.

W liście z 2.7.1958 roku skarżył się zde gustowany:

Na księżyc łatwiej pojechać, niż do tej smutnej Warszawy. Ponieważ troszkę honoru też posiadam, powiedziałem... dość tego, rezygnuję... Czasem aż mi przykro i żal, że wziąłem na siebie tę syzyfową pracę, która mi cały swobodny czas zabiera, dużo zdrowia i pieniędzy kosztuje...

Parę miesięcy później donosił, że

Antologia długo już gotowa. Pedantyczne wydawnictwo czeka tylko jeszcze na te brakujące noty biograficzne z kraju.



Karl Dedecius, fot. culture.pl

Pisząc na lewo i prawo Dedecius uparcie bojował o swoją antologię. W drukarni nikt nie znał języka polskiego, rękopis wędrował tuzin razy między Monachium a Heilbronn, gdzie mieszkał, niemniej kilka błędów literowych zostało, ku zgryzocie dokładnego tłumacza. Prowadziłem z nim dialog w sprawie niektórych jego wersji niemieckich. Wyjaśniał mi swoją postawę, obiecał wyłuszczyć ją szczegółowiej w wywiadzie dla naszego pisma pod warunkiem, że przyślę serię pytań, na które obiecał odpowiedzieć. Tymczasem dzielił się swoimi obserwacjami:

Kiedy ukazała się moja „Lektion der Stille”, pierwsza niemiecka antologia najmłodszej polskiej liryki (także pierwsza w obcym języku w ogóle), która

kosztowała mnie wiele czasu i trudu i troski, gdyż trzeba było karczować puszcze, a niełatwo było dostać, przeglądać i rozszyfrować ogromu polskich wydawnictw, napisał pewien krytyk, że wybór jest „skromny w porównaniu z obfitością wydanych w Polsce nowości”. Jaki mędrzec! Odkąd to mierzy się lirykę na metry, odkąd waży się wiersze jak kartofle na worki? Myślałem, że poezja to dalekoidące zagęszczenie, koncentracja, wybór...

A przecież jedną z oczywistych przeszkód w wydaniu książki były ograniczenia nakładane przez wydawcę mało pokupnych, ryzykownych tekstów. Tłumacz w liście skarżył się na stojącego do jego dyspozycji skąpość miejsca, że miał gotowe przekłady, które do antologii nie weszły. Pomińcie poeci też się upominali. Ktoś napisał mu złośliwy list.

Nie chce nigdy więcej „niczego” ode mnie słyszeć. Ponieważ nie wkluczyłem jego wierszy. Co za zarozumiałość! Takie są smutne radości sumiennego antologa,

komentował Dedecius.

Lecz docierały również pierwsze dobre echa z Polski. W liście z radością zacytował mi wypowiedź prof. Kazimierza Wyki:

Muszę powiedzieć, bez próżnych komplementów, że trudności, jakie Pan odczuwa i o jakich rozwiązanie prosi, dowodzą znakomitego zrozumienia poezji i ponadto trudności i wieloznaczności języka polskiego, wieloznaczności zarówno semantycznych jak obrazowych... Przekłady, o ile mogę polegać na swojej znajomości języka niemieckiego, czysto biernej i czysto szkolnej, wydają mi się bardzo piękne, udane, a przede wszystkim wierne...

Chwalił go także profesor Konrad Górski. Ponieważ jego tekst jest w języku niemieckim, przytoczę własny przekład jego wypowiedzi:

Czytając niemiecki tekst, słyszę dobrze melodię i rytm oryginałów. To wielkie osiągnięcie. Czy to nowy przekład, czy stary? Kto to jest Karl Dedecius? Jeżeli jest to nasz współczesny, to proszę wyrazić mu moje najwyższe uznanie.

W naszej korespondencji powtarzało się zaproszenie do Niemiec, ale moje drogi tamtędy nie wiodły. Zanim do osobistego spotkania doszło, Dedecius przeprowadził się służbowo do Frankfurtu. Tam go kilka lat później odwiedziłem z rodziną, kiedy wracaliśmy z Polski samochodem. Odszukaliśmy jego biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, dla którego wówczas pracował, przekładając w wolnym czasie polską literaturę.

Pojechaliśmy razem do lokalnej restauracji na wolnym powietrzu na pieczone kurczaki i długo obiecywaną sobie rozmowę. Obiad się przeciągnął, tak że musiałem zrezygnować z odwiedzenia przejazdem Mariana Pankowskiego w Brukseli, bo do stolicy Belgii dotarliśmy dopiero późną nocą, i zdecydowali kontynuować jazdę do Ostendy na prom do Anglii.

W liście z 12.4.1960 Dedecius zawiadamiał:

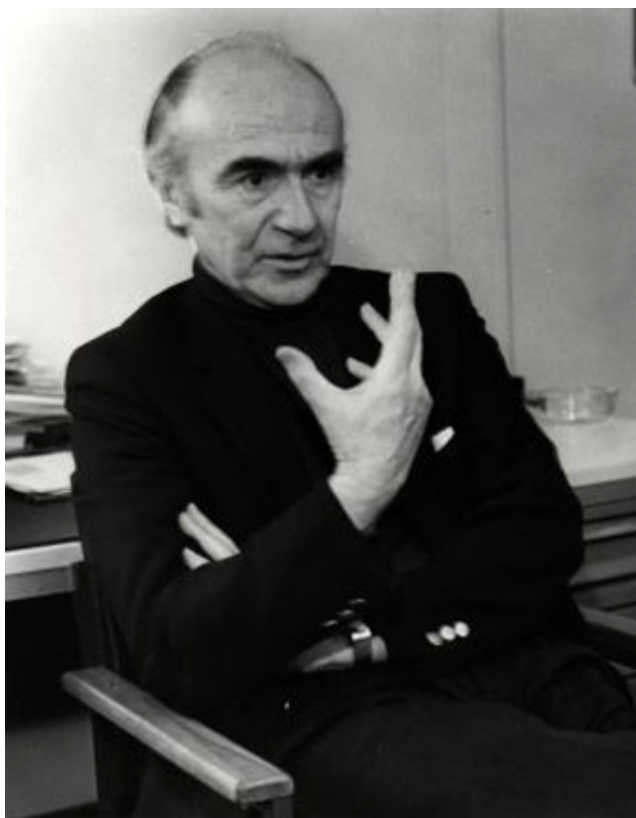
...Zaraz po Wielkanocy ukaże się tutaj dość ładna książka, bardzo dowcipnie ilustrowana: „Myśli nieuczesane” Leca w moim przekładzie.

Był to jego największy sukces wydawniczy. Pod tytułem „Unfrisierte Gedanken” utrafiły one w smak niemieckiego czytelnika. Tłumacz zapytany potem w Polsce o wysokość nakładu, powiedział „pięćdziesiąt tysięcy”, co z niewiary czy złośliwości dziennikarza zapisano jako „piętnaście tysięcy”. Dziś nakład tych aforyzmów przekroczył pół miliona.

Kiedy sam nieco później robiłem własny wybór tych aforyzmów i przekładałem na język hiszpański, by je wydać w Meksyku, napisałem o tym Dedeciusowi. Ubawiło go to.

Uśmiechnąłem się, mimo woli, czytając Pańskie uwagi o „Nieuczesanych” . Chyba pod sugestią Leca pisał Pan o tej maleńkiej książeczce, albowiem Lec wciąż się na mnie dąsa, że zrobiłem tak szczupły wybór, zamiast wydać grubą książkę z wszystkimi myślami. To już w charakterze każdego ojca życzenie zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Ale to nie zawsze możliwe. Po pierwsze, nie każda gra słów wychodzi w obcym języku (a przecież wiele aforyzmów Leca na tej podstawie słownej zbudowane), a po drugie, nie każda myśl, nowa i celna nad

Wisłą, jest także samo nowa i celna gdzie indziej. ...Boję się, że Lec nie miałby połowy swojego dzisiejszego sukcesu u nas, gdybym bez selekcji wziął wszystko, co on napisał. Pomijając to, że niektóre myśli, przetłumaczone na niemiecki, powtarzają nieśmiertelne mądrości wypowiedziane przed laty przez Salomona, Heinego, Goethego, Lichtenberga, Ebner-Eschenbacha, Krausa i innych aforystów. Perły ceni się tylko dlatego, ponieważ sprzedaje się je pojedynczo. Gdyby targowali nimi na rynku całymi workami - nikt by na to nie zwracał uwagi.



Karl Dedecius

W drugim liście podał mi adresy rodziny Leca oraz bogatą bibliografię lektury pomocniczej.

Miałem go następnym razem zobaczyć dopiero po latach w Warszawie. Bo tymczasem urosła jego sława i rozeszła się szeroko, a kiedy został dyrektorem Deutsches Polen Institut w Darmstadt i zaczął zapraszać pisarzy i poetów z Polski, stał się persona bardzo grata.

Na Saskiej Kępie u ambasadora Niemiec wraz ze spotkaną po drodze Ewą Lipską

zastąpiłem doborową drużynę ludzi pióra i kultury (wydawcy, pedagodzy, aktorzy) już tworzący dwa obozy, powiedzmy lojalistów i kontestatorów, która się zjechała z całej Polski, by uczcić 70 lecie pracy translatorskiej Dedeciusa. On, wysłuchawszy laudacji i koncertu fortepianowego, z przysłowiową niemiecką przezornością wręczył każdemu z obecnych gotową na tę okazję księgę pamiątkową.

Jan Darowski pisząc o "Lektion der Stille" w "Kontynentach" w 1962 roku martwił się o przyszłość fenomenu, którego nazwisko brzmiało Dedecius. Głosił on jasno i wyraźnie:

W Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya...Nie wiem, jak mu tam ojczyzna nasza pomaga, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób...

Dziś, po tylu latach, zbawieni obaw o losy Dedeciusa, możemy spokojnie pogratulować sobie, że postawiliśmy na sukces.

Na mój wielki dzień 5 maja 2015 roku napisał list: *(wręczenie doctoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i przyjęcie orderu przyznanego przez króla Hiszpanii Filipa VI za działalność translatorską, przyp. red.).*

Kochany Panie Florianie,

nasza wspólna Alma Mater, Uniwersytet Wrocławski, postanowił Pana odznaczyć. Gratuluję Panu z całego serca tego wyróżnienia, które nas powtórnie do siebie zbliża, jak Pan widzi krąg naszych przyjaciół jest ciągle ten sam, miejsca do których podróżujemy te same. Cieszę się, że Uniwersytet Wrocławski postanowił Pana uhonorować w tak szczególny sposób. Przez moment miałem nadzieję, że uda nam się spotkać, ale jak sygnalizuje mi moja najbliższa współpracowniczka, pani Ilona, Pana podróż wiedzie przez Warszawę, a nie przez Frankfurt. Szkoda. Chętnie bym odświeżył naszą przyjaźń, zaprosił Pana (wraz z Córką) na odpowiednią kolację połączoną z „nocną rodaków rozmową” ...

Karl Dedecius zmarł w 2016 roku.

Na jego koncie Niemcy zapisali odkrycie i przyjęcie polskiej literatury.

Oświecona zakonnica w niełaskawych czasach. Sor Juana Ines de la Cruz.



Florian Śmieja

W ocenie artysty dzieło jest najważniejsze, niemniej niejedno osiągnięcie staje się dopiero wtedy zrozumiałe lub choćby bardziej jasne, jeśli poznamy życie twórcy oraz epokę, w której mu żyć wypadło. Tak jest na pewno w przypadku siedemnastowiecznej poetki meksykańskiej sor Juany Ines de la Cruz. Koleje życia urodziwej i nadzwyczaj utalentowanej młodej kobiety, która schroniła się w klasztorze, aby poświęcić się pasji literackiej i intelektualnej, a następnie poniechała obu i zmarła na chorobę zakaźną posługując ofiarom epidemii, nie przestaje intrygować naukowców i biografów. Zajmują się oni tą fascynującą postacią od trzystu lat, a ostatnie dekady i okrągła rocznica śmierci poetki przyniosły szczególnie obfity plon publikacji bulwersujących tak historyków, jak prostego czytelnika. Prace

te usiłują dać odpowiedź na wiele pytań, które nie znalazły zadowalającego wytłumaczenia w dotychczasowych badaniach.

Biografie siostry Juany Inesy są liczne i prezentują cały wachlarz poglądów różnych autorów w kwestii zagadki jej życia. Z grubsza można tu wyróżnić dwa zasadnicze stanowiska. Zwolennicy pierwszego z nich podjęli próby hagiograficzne: usiłowania przedstawienia protagonistki jako osoby wyrzekającej się świata i światowego trybu życia, aby pójść drogą świętości. Inni natomiast widzą w postaci sor Juany przypadek neurozy. Obie strony powołują się na jej pisma, znajdując w nich znaki rozpoznawcze obu postaw.

Chociaż biografie twórców wyjaśniają wiele, ich dzieła mają, jak już zauważyliśmy, suwerenne jestestwo i kształtowane są nie tylko przez osobowość autora i jego egzystencję, ale też przez tradycję i smak czasów, w których powstały. Indywidualność talentu współgra zazwyczaj z sytuacją społeczną i z duchem epoki, budzi większe lub mniejsze zaangażowanie odbiorców, ściąga na siebie łaskę lub niełaskę władzy. Sor Juana Ines toczyła grę o wielką stawkę, o przywilej niemilczenia w obliczu wszechwładnej ortodoksji, która nie dopuszczała do głosu nowych, niebezpiecznych dla niej idei.

Próby ustalenia szczegółów dotyczących narodzin poetki najeżone są trudnościami. Jest wielce prawdopodobne, że przyszła ona na świat w roku 1648, ponieważ w księdze chrztów parafii, do której należała jej rodzinna miejscowość San Miguel Nepantla, jest zapis, że 2 grudnia 1648 roku ochrzczona została Ines, córka Kościoła, a rodzicami chrzestnymi byli brat i siostra matki, Miguel i Beatriz Ramirez. Była trzecią z kolei nieślubną córką Izabelli Ramirez de Santillana oraz niejakiego Pedra Manuela de Asbaje, o którym milczą źródła. Sądząc po losach wszystkich trzech sióstr, nieślubnemu potomstwu społeczeństwo meksykańskie nie stawiało wówczas szczególnych życiowych barier. Liberalizm w kwestiach płci spotykał się z tolerancją, przymykano oczy na swobodę obyczajową, jak długo zachowywana była ortodoksja religijna. W Meksyku, jak w innych krajach europejskich, również panowała barokowa dychotomia używania i ascezy.



Sor Juana Ines de la Cruz

Bardzo niewiele wiemy o dzieciństwie Juany Inesy. Pewnym źródłem jest jedynie napisany przez nią do biskupa Puebli list, w którym wspomina, że cechował ją duch żywy i skory do zabawy. Niemniej okruchy jej dziecięcej biografii scalają się w pewien spójny obraz. Wiemy, że w rozmowach wykazywała szybką orientację, humor, łatwość improwizowania. Miała bujną wyobraźnię i odwagę. Lubiała ruch i muzykę. Przede wszystkim była dociekliwa. Interesowało ją wszystko, co znajdowało się wokół niej. Ta ciekawość miała przerodzić się w intelektualne zacięcie. Już jako trzyletnia dziewczynka wymogła na matce, by nauczycielka starszej siostry jej także udzielała lekcji. Z tych wczesnych lat datuje się jej awersja do sera, gdyż wierzono wtedy powszechnie, że jego konsumpcja źle działa na umysł. Pożądanie wiedzy było u niej silniejsze niż głód. Wcześniej nauczyła się czytać i pisać. Namawiała matkę, by ją, przebraną za chłopca, posłała do miasta Mexico na uniwersytet. Pocieszyła się

możliwością nauki i czytania w bogatej bibliotece dziadka. Ucząc się gramatyki obcinała sobie włosy, jeżeli na czas nie nauczyła się zadanej sobie lekcji. Powiadała, że głowa pusta nie zasługuje na ozdobę włosów.

W spuściźnie sor Juany mało jest wzmianek o jej rodzinie, o sytuacji w rodzinnym majątku u podnóża wulkanu Popocatepetl, o świecie kobiet, w którym się wychowywała, wreszcie o dwu kochankach matki. Nie wiemy, czy znała ojca, który w kilka lat po jej przyjściu na świat zniknął ze sceny. Juana Inesa nie wspomina go. Jednak niektóre wiersze o odchodzącym mężczyźnie zdają się, wedle niektórych krytyków, jego mieć na myśli: poetka przywdziewa maskę wdowy, matki - za postacią zmarłego męża kryje się zapewne jej ojciec. Kto wie, czy pojawienie się w domu kolejnego kochanka matki, nie popchnęło Juany Inesy nie tylko do zamknięcia się w sobie, lecz także do myśli o celi klasztornej i o samotności. W porównaniu z tymi dwoma niejasnymi mężczyznami, którzy przewinęli się przez życie Izabeli Ramirez, ona sama była osobą konkretną, rzutką i władczą. Ważną rolę w życiu rodziny odegrał również jej ojciec, z którego biblioteki Juana Inesa korzystała czytając wszystko, co jej wpadło w ręce. Ta bogata lektura otworzyła jej okno na szeroki świat, stała się dla dziewczyny ucieczką ze świata rzeczywistego w świat idealny, w prawa systemu stabilnego i szlachetnego. Biblioteka ponadto oddalała ją od powszednich konfliktów, a także stawała się fundamentem życiowej szansy. Posiadanie wiedzy mogło bowiem zrównoważyć niskie urodzenie i brak majątku. Mogło zmienić los, otworzyć lepszą przyszłość. Juana Inesa nie zważała na przeszkody: jej głód wiedzy domagał się zaspokojenia. Zuchwale wchodziła w świat umownych znaków, jaki otwierały przed nią książki, oszałamiając ją antynomiami złudy i rzeczywistości. Wtedy już zaczynała rozumieć, że wiedza jest heroicznym zrywaniem węzłów, łamaniem zakazów i konwencji.

Kiedy dzieckiem bodaj ośmioletnim będąc udała się do stolicy do bogatych krewnych, zadziwiła ich znajomością literatury i doskonałą pamięcią. Z czasem wyrosła na przystojną, obyczajną i wykształconą pannę, nauczyła się łaciny. Dlatego, jak tylko wylądował w Meksyku nowy wicekról, żonie jego przedstawiono cudownie uzdolnioną, a równocześnie osieroconą Juanę Inesę. Wicekrólowa, miłośniczka literatury, przyjęła ją na swoją służbę. Na dworze przez pięć lat błyszczała jej uroda, charakter i inteligencja. Juana Ines nie stroniła od zabaw, ale i nie zdołała zmienić swojej społeczno-towarzyskiej sytuacji osoby bez nazwiska i bez wiana. Bez nich

korzystne zamążpójście było trudne. Ale ona sama wyznała później, że nie czuła wówczas powołania do małżeństwa.

Niespodziewanie w wieku lat dziewiętnastu wstąpiła do Zakonu Karmelitanek Bosych w Mexico. Nie wytrzymała jednak rygorów i z klasztoru wystąpiła. Półtora roku później złożyła śluby w klasztorze św. Hieronima obierając regułę mniej surową

Ten krok młodej i powabnej kobiety rozpętał wśród jej późniejszych biografów najróżniejsze domysły. Tropiono zawiedzioną, czy niemożliwą miłość Juany; jako argument cytowano jej poezję miłosną. Można by na to odpowiedzieć, że znając sytuację i predyspozycje Juany Inesy, nie trzeba szukać zawodu miłosnego, by zrozumieć, dlaczego klasztor ją pociągał. Ponadto poezję miłosną uprawiali w jej czasach wszyscy, ale, zgodnie z duchem epoki, była to przede wszystkim sprawność, umiejętność posługiwania się sztafażem literackim. Nie posiadamy żadnych, ale to żadnych dokumentów, czy choćby poszlak świadczących, że było inaczej.

Niektórzy utrzymują, że Juana wstąpiła do klasztoru, bo miała powołanie. Ale bardziej przekonujący wydaje się pogląd, że została zakonnica, by mieć swoje własne miejsce, gdzie czułaby się swobodna i bezpieczna, rezygnowała ze świata, ale obiecywała sobie ustabilizowane życie intelektualne. Wszelkie skrupuły, czy aby jej przywiązanie do literatury nie będzie kolidowało z obowiązkami stanu rozproszył pewien jezuita, spowiednik wicekróla, który wystarał się również o konieczne przy wstąpieniu do klasztoru wiano. Juana Inesa podjęła więc decyzję przemyślaną: skoro nie pożałała małżeństwa ze względu na ograniczone szanse, czy też odstraszona doświadczeniami matki i obu sióstr opuszczonych przez mężów, wybrała zgromadzenie zakonne oferujące jej najdogodniejsze warunki spokojnego, bezpiecznego bytowania. Bytowania twórczego: zamierzała poświęcić się nauce. Żałowała, że nie urodziła się mężczyzną, bo w jej epoce droga do wiedzy była kobietom utrudniona, jeśli nie wręcz – zamykana. Idąc do klasztoru Juana w pewnym stopniu potrafiła tę barierę dzielącą ją od upragnionej samotności sforsować.



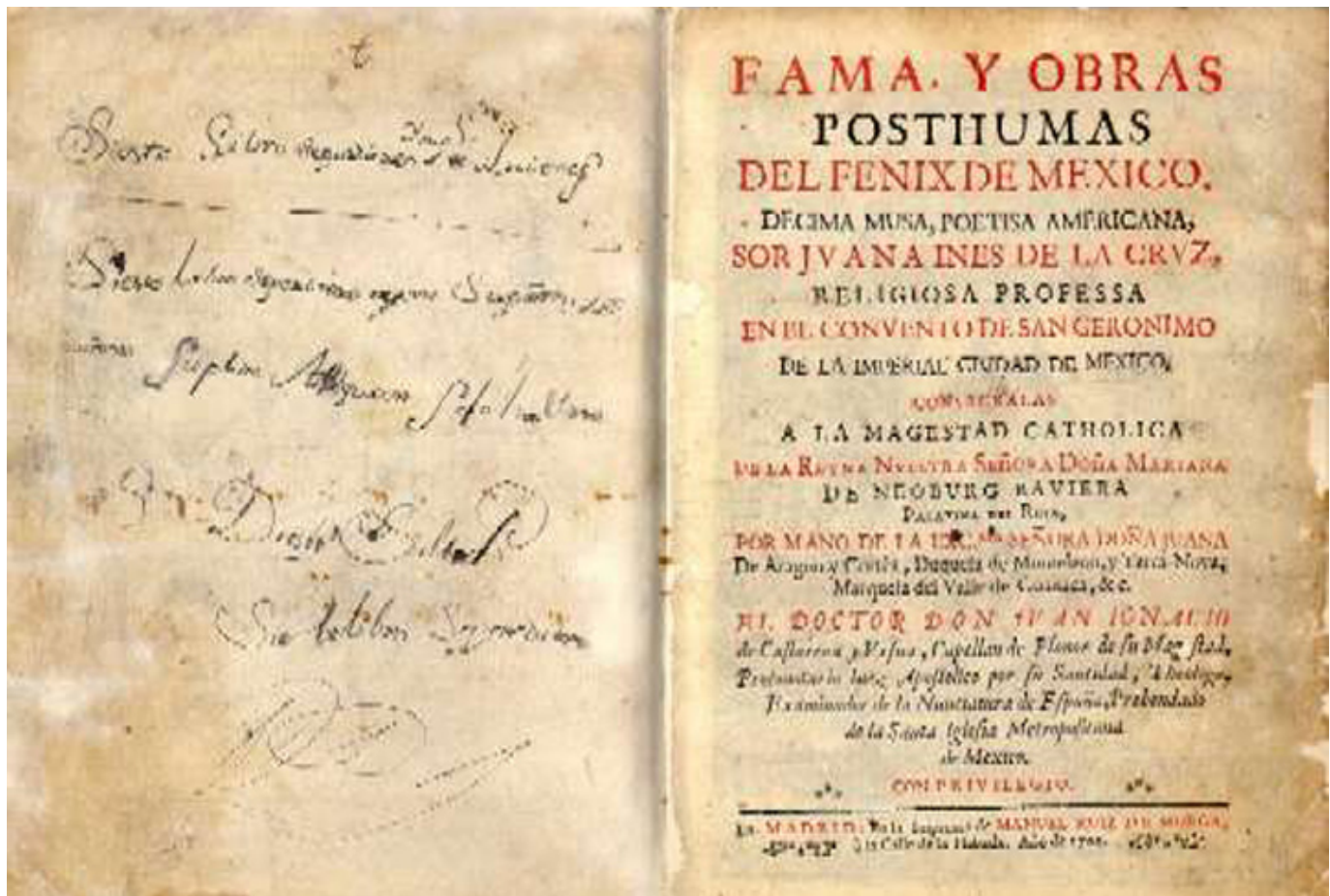
Klasztory, liczne w owym czasie, miały ważne funkcje do spełnienia. Oprócz dawania świadectwa cnotom chrześcijańskim, w których celowały jednostki o szczególnym powołaniu, zakonnicy nauczali i leczyli, opiekowali się ubogimi. Zakony różniły się między sobą regułą, zamożnością, a także sferą społeczną, z której rekrutowały swoich członków. Klasztory cieszyły się autonomią, podlegając teoretycznie różnym przełożonym i jurysdykcjom. Oprócz licznych świąt i uroczystości religijnych urządały również świeckie festyny, przedstawienia teatralne, gry i zabawy z udziałem gości duchownych i świeckich. Zakonnice nosiły biżuterię. Wprawdzie panował duch ascetyzmu, ale mocna też była wiara w niezwykłości i cuda. Sor Juna żyła w takiej atmosferze zachowując umiarkowanie i zdrowy rozsądek. Klasztor, w którym przebywała, słynął z nauczania tańców, muzyki i teatru. Zakonnice, a wśród nich również i ona, pisały teksty do muzyki oraz sceny dramatyczne. Ich dzień zaczynał się o szóstej. Odprawiana była msza św., modlono się kilka razy w ciągu dnia i pracowano. Cele były obszerne, piętrowe i raczej przypominały małe mieszkanek z kuchenką i łazienką urządzane wedle własnego gustu i możliwości. Zakonnice miały służące, jadły i pracowały każda osobno we własnej celi. Choć życie

zamknięte obfitowało w plotki i intrygi, sor Juana potrafiła wychodzić z nich obronną ręką przez dwadzieścia lat.

Była niezwykle pilną czytelniczką, interesowała się wszystkim, szukała szerokiej encyklopedycznej wiedzy, pisała dużo, utrzymywała bogatą korespondencję. Zaginęły jej liczne listy świadczące o potrzebie komunikowania się z ludźmi oświeconymi, a także o pewnej intelektualnej próżności.

W pierwszych latach zakonnych miała kłopoty ze zdrowiem. Atakował ją tyfus. Wspomina o chorobie w wierszach, choć elementy autobiograficzne zostają w jej kompozycjach przesłonięte tradycyjnymi środkami poetyckiej sztuki baroku to, co osobiste, przemieniło się w kunsztowne koncepty ubrane w sztafaż filozoficzno-retoryczny. Te charakterystyczne cechy stylizacji znajdziemy zresztą nawet w utworach pisanych otwarcie dla osób najdroższych.

Ponieważ nie przechowały się oryginały wierszy, ani choćby ich odpisy, niemożliwe stało się ich datowanie za wyjątkiem bardzo niewielu tekstów. Nawet w tych drobnych utworach sor Juana jest mistrzynią słowa, rytmu i formy. Wiersze te odzwierciedlają porządek wszechświata i ład polityczny. Są to poezje dworskie zdolne zaskarbić sobie względy dworu i przynieść korzyść autorce i całemu zgromadzeniu. Ich język reprezentuje społeczne i polityczne konwencje. Pasja utworów miłosnych jest czystym platonizmem. Jeżeli by można zarzucić coś niektórym tekstom, to to, że autorka, łąsa być może na pochwały, niekiedy snuje wywód zbyt cienki, pozwalając sobie na zuchwałe dowcipy. Nie potrafiła czasem zrezygnować z zaskoczeń przemyślnej inwencji, i wówczas jej lotność i przenikliwość stawała się swego rodzaju złośliwym tryumfem wyższej inteligencji wobec, jakbyśmy to dziś określili, inteligentnych inaczej.



Autograf Sor Juany Ines de la Cruz.

Sor Juana była muzykalna. Komponowała melodie do własnych tekstów. Miała kolekcje instrumentów muzycznych, na pewno interesowała się teorią muzyki. Posiadała pokaźną bibliotekę, na którą składały się tomy poezji hiszpańskiej, kompendia mitologii, zbiór pisarzy rzymskich, wiele ksiąg religijnych i dewocyjnych, traktat teologów jezuickich.

W ciągu dwudziestu lat z ubogiej prowincjuszki stała się respektowaną siostrą zakonną, piastującą funkcje wymagające zdolności i daru budzenia zaufania. Z ubogiej pólsieroty stała się zamożną i wpływową kobietą. Dzięki talentowi literackiemu weszła w zażyłe stosunki z dwiema wicekrólowymi, jej wpływy w pałacu namiestników zapewniały opiekę i protekcję jej zgromadzeniu. W rozmównicy klasztornej podejmowała gości i przyjaciół czyniąc z niej nieomal salon literacki. Pisała i rozmawiała swobodnie bacząc jedynie, aby nie wdać się w dysputy teologiczne.

Taki obraz życia żarliwego zdaje się wyzierać z portretów poetki, choć kontemplując je bliżej można w nich odkryć również rozczarowanie i samotność wybitnej jednostki odstającej od tłumu, pogrążonej w swych odważnych myślach.

Przez całe życie służyła literaturze. Bezustannie korespondowała i prowadziła dyskusje na tematy literackie, przygotowywała starannie tomy wierszy i oddawała je w ręce przyjaciół, którzy je publikowali. Większość utworów wyszło drukiem jeszcze za jej życia, a powtarzane edycje świadczą o ich ogromnym sukcesie. Po śmierci Juany Inesy nastąpił wprawdzie wiek ciszy, ale jej powrót do łask krytyków i czytelników datuje się od końca ubiegłego wieku.

Spośród utworów sor Juany poezje miłosne budzą najwięcej kontrowersji. Podmiotem tej poezji nigdy nie jest zakonnica, ale wolna kobieta ze sfer wyższych, niezamężna lub narzeczona. Swoboda, a niekiedy nawet zuchwałość, w traktowaniu tematów miłosnych, aczkolwiek uważane nie za wyznania osobiste piszącej, lecz wariacji na uniwersalny temat, były do czasu tolerowane przez władze kościelne z uwagi na wysokich protektorów w pałacu wicekróla. Śmiałe igraszki słowne ocierające się o granice tabu były zresztą jednym z wynalazków literackiego baroku, który cenił umiejętność dyskretnej inteligencji potrafiącej znajdować skojarzenia i relacje między przedmiotami i tworzyć koncepty jednoczące pojęcia najbardziej rozbieżne. Dodajmy, że wśród teoretyków konceptu brylowali już nieco wcześniej jezuita: w Hiszpanii Baltasar Gracian, a w Polsce - Kazimierz Sarbiewski.

Rozległą twórczość sor Juany ukształtowały życie i wyobrażenia, lektura i rozmyślanie. Pamiętała lata w pałacu wicekróla, zapewne poznała rozterki miłości. W jej wierszach miłość jest pamięcią i wyobrażeniem, co wcale nie musi oznaczać sztuczności czy letniości. Używając form wiersza tradycyjnego, ale również poetyki renesansowej przejętej przez hiszpańskich liryków z Italii, układała kompozycje lekkie, klarowne, bardzo rytmiczne, zasadzające się na metaforze nieraz przeradzającej się w alegorię. W formie wierszy ujawnia się bogactwo i swoboda jej inwencji. Niekiedy zaskakuje na początku iskrzeniem świetnego konceptu, trafnym słowem, znakomitą rytmem, ale potem rozczarowuje brakiem dyscypliny i zwięzłości, wielosłowiem, powtórkami. To zaniechanie rygorów jest pochodną używania otwartej, starohiszpańskiej metryki, być może dogodniejszej do śpiewania. Inaczej zupełnie jest w sonetach, które zmuszają do przemyślanej konstrukcji.

Ukazuje w nich poetka nie tylko mistrzowskie opanowanie form, ale także znakomite sploty treści, której drastyczność neutralizuje zwiewność i elegancja aluzji, a erotyczna fantazja zamazuje się w grze słów i sennych zwiódów. Utwory religijne sor Juany są nieliczne i okolicznościowe. Cechuje je ten sam miłosny język i obrazowanie zgodnie z tradycją mistyków hiszpańskich oraz twórcy *Pieśni nad pieśniami*.

Najczęściej cytowanym utworem poetyckim sor Juany jest satyra na mężczyzn, którzy, będąc powodem nieszczęść kobiet, niesłusznie je potem obwiniają. W tej znakomitej obronie kobiet autorka ucieka się do formy i ducha dawnych hiszpańskich *canciones* zbieranych w popularne antologie tzw. Cancionero, a obfitujących w wyszukane koncepty miłosne, stereotypowe sytuacje i tradycyjną rytmikę. Również liryki z powieści pasterskiej *Gil Polo* były wzorem dla tego utworu, w którym zawarła poetka swoją obronę i zgromiła mężczyzn ich własną bronią. W tradycyjnie męskiej kulturze owych czasów utwór ten zaskakuje tonem, którego nie spodziewano się usłyszeć wśród głosów dolatujących z dalekich kolonii hiszpańskich.



Najobszerniejszym tekstem poetyckim Juany Inesy jest pochodzący z roku 1685 *Pierwszy sen*. Jest to traktat liczący 975 wersów różnie rymowanych. Akcja trwa jedną noc. Na modłę wielkiego poety barokowego Góngory, autora dwu *Samotności* (*Soledades*) poemat sor Juany odziany jest w szatę manierystyczną, która podziwiać każe piękno konceptu, częste przerzutnie, a nawet echa Góngory. Miejscem akcji są niezamieszkałe przestworza nieba pełne geometrycznych figur. Sor Juana pokusiła się o wyrażenie tego, co jest niewidzialne, abstrakcyjne, co dusza tylko zdolna jest dostrzec. Jest to poezja kosmiczna, w której dusza, wyszedłszy z ciała, wędruje po zaświatach. Wzloty intuicyjne duszy

wyswobodzonej z pęt ciała na kształt piramidy cienia kierują się ku nieznanym

sferom. Bogactwo nieba sprawia, że dusza omdlewa oślepiąca światłem. Rozum wobec ogromu świata wątpi i cofa się: porwał się oto na rzeczy niemożliwe, jak Faeton nieszczęsny, który odważył się kierować wozem słońca i "uwiecznił swe imię na swojej ruinie". Wtedy wstaje zorza, poetka budzi się. Nastął nowy dzień.

Wielu krytyków dostrzega w tym poemacie intelektualną spowiedź sor Juany, zdradzającą zuchwałość jej ducha i jego wątpiwości, ale także pochwałę bohatera tragicznego sięgającego po to, co niemożliwe. Jesteśmy w tym utworze świadkami klęski: czy jest to porażka sor Juany, kobiety czy osoby? A może to efekt upadku człowieka? Niemniej - zdaje się mówić poemat - kiedy umiłowanie wiedzy staje się pasją, a jej osiągnięcie jest niemożliwe, pozostaje nam wyzwać los i nie pozwolić, by opanowała nas rezygnacja.

Słynny teatr hiszpański siedemnastego stulecia, który po fermentach drugiej połowy wieku szesnastego przeszedł rewolucję nowej komedii Lopego de Vega, kontynuowanej i przekształcanej później przez cały zastęp genialnych dramaturgów takich jak Tirso de Molina, Alarcón i Calderón de la Barca, stał się ulubioną rozrywką społeczeństwa hiszpańskiego celebrującego siebie i swoje historyczne osiągnięcia na deskach teatrów. Żywo reagując na te inspiracje sor Juana także chwyciła za pióro i dla dworu wicekróla i wielmożów napisała dwie komedie płaszczka i szpady, to jest komedie intrygi, łącznie z poprzedzającymi je introitami i wzbogacającymi intermediami. *Los empeños de la casa*, sztuka nadal zachowująca dawny wdzięk, mówi o kobiecie, która dla miłości opuszcza dom, a potem wraca, by wyjść za mąż. Sztuka ta ma postacie raczej szblonowe, innowacją są naleciałości meksykańskie w ustach błazna. Cechuje ją zawiła, szybko tocząca się akcja, błyskotliwe odezwania i koncepty zakwefionych dam i zakochanych kawalerów, muzyka i śpiewy. W drugiej komedii wystawionej w roku 1689 na urodziny nowego wicekróla, *Amor es mas laberinto*, również pełnej intrygi, przenosi nas poetka na wyspę Kretę Minosa i Minotaura, Tezeusza, Fedry i Ariadny. Zabawną akcję podnosi poetycki język z intrygującą mieszaniną archaizmów mitologicznych i współczesnego baroku. Ton jest wybitnie manierystyczny. Uwagę jednak zwraca przemówienie Tezeusza, który wygłasza niebezpieczną przemowę o pierwotnej równości ludzi, których dopiero przemoc ujarzmiła i stworzyła wśród nich klasy i hierarchie. To jeszcze jedna zagadka.



Można przypuścić, że fama talentu poetyckiego sor Juany sprawiła, iż jej sztuki były chętnie odgrywane przez Meksykanów. Liczne krótkie utwory dramatyczne Juany Inesy pisane były na różne okazje. Szczególnie udane były tzw. introity, dramatyczne skecze, formy przejściowe skomponowane, w najróżniejszych miarach, w których znajdujemy wiele udanych obrazów i językowych błyskotliwości.

Autos sacramentales czyli moralitety eucharystyczne, hiszpańskie jednoaktówki grane w Boże Ciało oglądano również w Meksyku. Sor Juana napisała trzy *autos*, z których *Boski Narcyz* z 1688 zyskał najwięcej sławy i prawdopodobnie wystawiony został w Madrycie rok czy dwa później. W 1690 ukazał się drukiem w Mexico. Dwa pozostałe, *Męczennik Sakramentu* oraz *Sceptr Józefa* wyszły w drugim tomie Dzieł.

Loa, czyli *introit do Męczennika Sakramentu* ukazuje teologiczne zainteresowania sor Juany. Dwaj studenci teologii zastanawiają się nad największym dowodem miłości Chrystusa: czy była to Jego śmierć za ludzkość, czy pozostawienie jej Sakramentu Eucharystii, chleba nieśmiertelności, umożliwiającego ludziom uczestniczenie w Jego naturze. Trzeci student, uosabiający autorkę, która jakby na scenie zrealizowała upragniony za dziecięcych lat status studenta uniwersytetu,

przesądza sprawę. Akcja auto rozgrywa się w Hiszpanii wizegockiej w VI wieku i mówi o rebelii królewicza przeciwko swojemu ojcu, który jest arianinem. Jest to raczej sztuka schematyczna, której brak szlif i głębszego przemyślenia. *Scepter Józefa* zaś to historia biblijnego Józefa sprzedanego przez braci do Egiptu, który po wielu perypetiach został doradcą faraona i dygnitarzem. Akcję komentują diabły wywodząc z niej alegorię przyjścia na świat Chrystusa i ustanowienie sakramentu Ołtarza.

Boski Narcyz sugeruje podobieństwo między starożytnymi ofiarami ludzkimi w tym wypadku świętem azteckim, podczas którego kapłani z ziaren i nasion nasyconych krwią ofiarowanych dzieci lepili postać boga Huitzilopochtli, którą następnie rwali na kawałki i spożywali - a Eucharystią. Sor Juana adaptowała mit o Narcyzie i Echo, lecz nimfa Echo reprezentuje nie człowieka, ale szatana, upadłego anioła. Chrystus patrząc do źródła nie zakochuje się jak Narcyz, w swoim odbiciu, lecz w ludzkiej kondycji, którą przybrał nie tracąc Boskości. Ta sztuka wyróżnia się wspaniałą poezją i polimetrią, reminiscencjami współczesnych poetów i *Pieśni nad pieśniami*. Należy do najwyższych osiągnięć szkoły dramatycznej Calderona, będąc dziełem o ambitnej strukturze intelektualnej.

W 1690 roku ukazała się w Puebli osobliwa publikacja: list sor Juany krytykujący kazanie portugalskiego jezuita. Autorka dała się wciągnąć w końcu w konflikt między arcybiskupem Mexico a biskupem Puebli.

Nagle odezwały się nieprzyjazne głosy i zaostrzyły intrygi. Sor Juana postanowiła odpowiedzieć na zarzuty postawione jej przez domniemaną sor Filoteę, bo pod takim pseudonimem ukrył się biskup Puebli. Napisała znakomitą i godną obronę zatytułowaną *Odpowiedź*. Adresat wtedy zamilkł i nigdy odpowiedzi nie ogłosił. Przeląkł się tekstu zakonniczy, która nie tylko się nie ukorzyła, ale odważnie i dumnie dowodziła, że jako kobieta ma prawo zajmować się sprawami intelektu i tworzyć literaturę. Broniła swojego talentu i posłannictwa dowodząc, że nie koliduje ono wcale z jej religijnym powołaniem. Wyznała szczerze, że w klasztorze szukała spokoju i możliwości lektury i twórczości. Fascynowały ją literatura starożytna i wiedza powszechna. Była samoukiem, nie miała ani nauczyciela ani współuczniów. Skarżyła się, że w klasztorze nie spotkała nikogo, kto by interesował się nauką, literaturą czy sztuką. Co gorzej, nie zaznała spokoju od towarzyszek, które szemrały

przeciw jej wyróżniającej ją inteligencji i zamiłowaniu. Dowodzi w swej odpowiedzi, że nie widzi nic złego w edukacji kobiet ani w uprawianiu przez nie literatury.



Pomnik Sor Juany Ines de la Cruz w Meksyku, fot. pinterest.

Ta apologia, a zarazem szkic biograficzny, ukazała się dopiero 5 lat po śmierci autorki. A tymczasem kraj nawiedziły katastrofy żywiołowe, nieurodzaj, głód i rebelia. Wielu ludzi dostrzegało w tych zjawiskach karę Boską. Sor Juana, gnębiona atakami, ale broniąca ciągle jeszcze swojego prawa do godności człowieka rozumnego, zaczęła się wahać. Poczula się bardzo osamotniona po odejściu od niej spowiednika i niejasnym zachowaniu się biskupa Puebli, a także po śmierci w Hiszpanii swego protektora. Rozumiała, że cierpiała prześladowania głównie dlatego, że była kobietą i do tego oświeconą. Przewornie przygotowała do druku w Hiszpanii dwa tomy swoich prac, aby one broniły jej reputacji.

Sama bowiem traciła siłę, odporność i pewność siebie. Długo się wahała, nim poprosiła spowiednika o powrót. Zdawała sobie sprawę, że równało się to kapitulacji i zrezygnowaniu z życia intelektualnego i twórczego. Po spowiedzi z całego życia podpisała dokumenty obiecujące zerwanie z przeszłością i prowadzenie wzorowego życia religijnego. Zaczęła umartwiać się ze szkodą fizyczną, a także psychiczną. 5 marca 1694 roku własną krwią podpisała wyznanie wiary oraz przekazała

arcybiskupowi Mexico swoje książki, instrumenty muzyczne i przyrządy naukowe, by je sprzedał, a dochód przeznaczył na ubogich. 17 kwietnia 1694 roku, w konsekwencji zarażenia się od sióstr, którymi się opiekowała po wybuchu epidemii, sor Juana zmarła w wieku lat 46.

Jej wybitny rodak, Octavio Paz, który napisał znakomicie udokumentowaną i osadzoną w kontekście czasów biografię sor Juan powiada, że między nią a światem była sprzeczność nie do usunięcia, sprzeczność nie tylko intelektualna, ale także egzystencjalna. Zaistniała ona między jej powołaniem literackim a życiem zakonnicy. Była kobietą a chciała być uczoną.

Dzieło pisarskie sor Juany znamionują przymioty wielkości. Najlepsze jej utwory wytrzymują porównanie ze współczesnymi jej arcydziełami. Zadziwia ich ilość i różnorodność. Pisała pod urokiem wielkiego hiszpańskiego manierysty, Góngory, spontanicznego liryka Lopego de Vega i wybornego architekta teatru Calderóna. Jej poezja wyróżnia się przede wszystkim wielką klarownością, uczuciem mieszczącym w sobie paradoksalną dwoistość, melancholijną świadomość swych granic. Nie jest to uczucie rozpasane i nieświadome, ale poddane rygorom przetworzone i zorganizowane w języku. Poetka posługuje się chętnie konceptem, kojarzy szczęśliwie chaotyczne aspekty rzeczywistości, nie popadając w przesadę czy śmieszność. Jej krótkie liryki są żywe, potoczyste, mają wdzięk pereł. Z teatru ostał się wspomniany już moralitet *Boski Narcyz*, choć auto sacramental należy do teatru rzadko już oglądanego. Respekt budzi nadal *Pierwszy sen*, alegoria pragnienia wiedzy i aspiracji ducha ludzkiego wobec ogromu niemego nieba.

Dorothy Schons nazwała sor Juanę "pierwszą feministką" Ameryki. Aczkolwiek trzeba jej kwalifikację uznać za anachronizm, prawdą jest, że w życiu swym sor Juana doświadczyła na sobie trudności, jakie ówczesne społeczeństwo stawiało jej płci na drodze do zdobycia wiedzy. Jej matka i inne kobiety w rodzinie skazane były na poślednie, uwłaczające ich godności, życie na łasce kaprysu mężczyzn, nieślubne dzieci często szły na poniewierkę. Stawanie w obronie praw kobiety innej niż ta, która tradycyjnie znosiła swoją dolę, określano mianem pychy i rebelii. W końcu zmuszono ambitną zakonnice do pozbycia się biblioteki i porzucenia pióra.

Hagiografowie widzą w takim finale ukorzenie się hardego ducha i zawrócenie na

drogę pokuty i umartwienia. Inni wskazują na zmierzch sor Juany jako na jawny akt nietolerancji i patologicznych nadużyć władzy przez fanatycznych i zawistnych mężczyzn, którzy swoją ofiarę zmusili do obwinienia siebie i do podpisania niejasnych deklaracji celem utrzymania dyscypliny zakonnej, a właściwie dla zachowania patriarchalnego absolutyzmu.

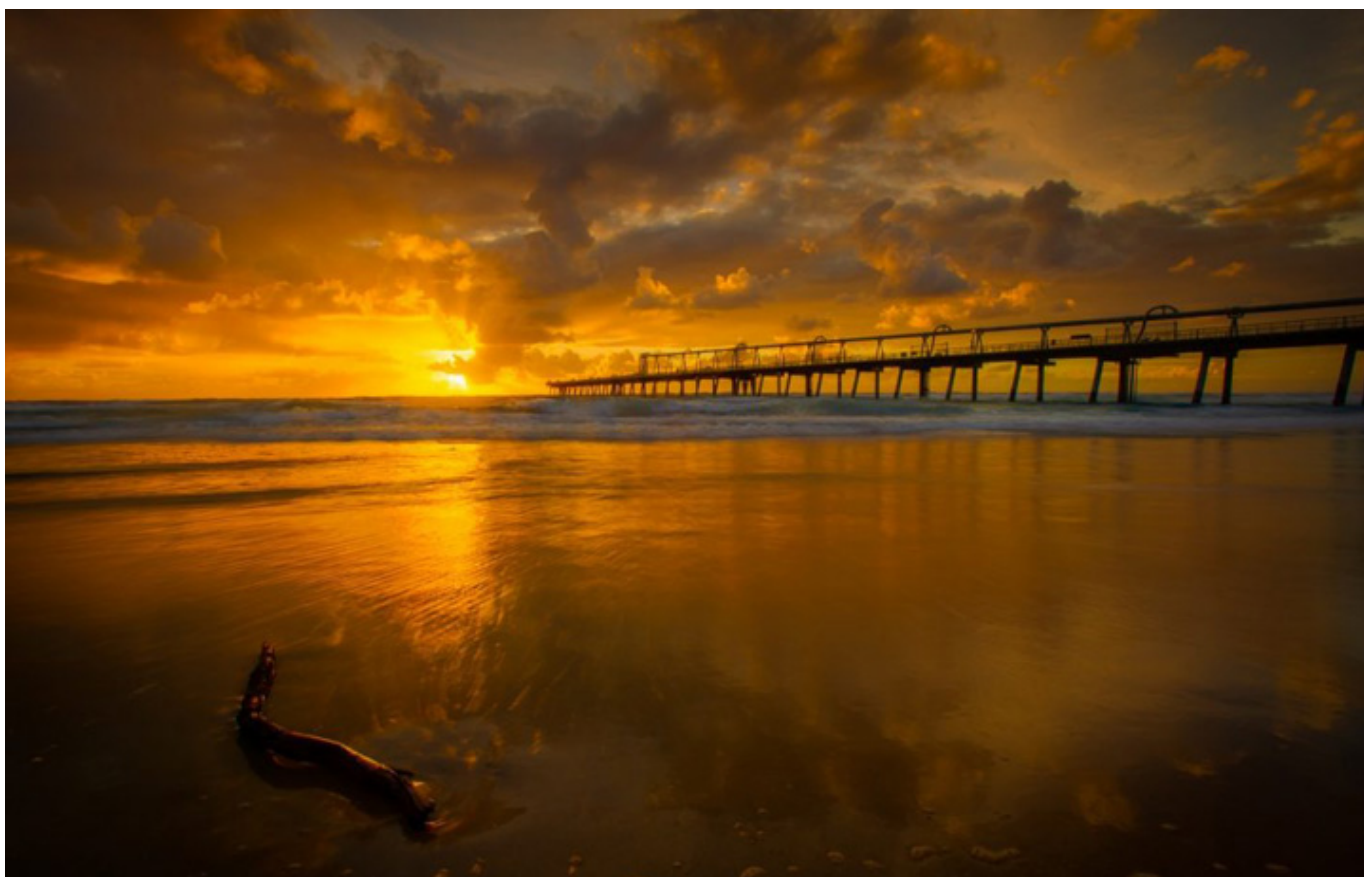
Współczesne feministki usiłują zrobić z autorki *Pierwszego snu* swą sztandarową patronkę. Istotnie, we wzmiankowanym liście powołała się ona na poczet oświeconych niewiast przeszłości i czasów sobie współczesnych; napisała, że inteligencja nie jest przywilejem mężczyzn, że rozum nie posiada płci, że należy nie tylko nie zabraniać kobietom możliwości nauki, ale przeciwnie, zorganizować powszechną edukację kobiet pod egidą klasztorów lub instytucji w tym celu powołanych. Byłby to z jej strony dowód odwagi. Ale Octavio Paz wskazuje na jej lęk, a przynajmniej nieśmiałość wobec władz, jej konformizm wobec Kościoła i Inkwizycji. Równocześnie jednak podkreśla jej nieugiętą wolę, by być tym, kim być chciała: by zdobyć psychiczną i moralną samowystarczalność. Nie dostrzega w jej postawie buntu, lecz "przykład właściwego zastosowania inteligencji i woli w służbie wewnętrznej wolności".

Dziesiąta Muza, jak ją nazwano, pozostaje mimo tylu dociekań, zagadką. Kto dziś zdolny jest odnaleźć prawdziwą sor Juanę? Bo wszystko było w niej zaskakujące i jak napisał Ramón Xirau, "przedwczesne, nie wyłączając jej śmierci".

Miłość po szkocku. Wielka polityka.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodszych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący

na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Australia

Anna Habryn

Rozdział 4

Jan ciężko przeżył śmierć żony. W ogóle przestał wychodzić z domu, jakby świat

dookoła był przerażający i nie do zniesienia. Mary przychodziła do niego kilka razy w tygodniu, żeby posprzątać i ugotować mu coś smacznego – inaczej jadł byle co i byle jak. Zakupy robił dla niego Charlie, on też zarządzał wszystkimi pieniędzmi i płacił wszystkie rachunki. Ale Charlie nie siedział z Janem długo, nie rozmawiał z nim. Nikt w rodzinie nie był przyzwyczajony do rozmawiania z Janem, Jan po prostu był: jak tapeta na ścianie, albo jak stół w kuchni – kto by na niego zwracał uwagę! Teraz więc Mary surowo zapowiedziała swoim dzieciom, że oczekuje od każdego z nich odwiedzania Jana raz w tygodniu.

- I trzeba z nim rozmawiać, jak najwięcej. Wychodzić z nim na spacer, do parku na rogu, albo chociaż do ogrodu.

Ogród zarastał chwastami. Mary miała pełne ręce roboty.

Któregoś dnia siedzieli z Janem na werandzie i patrzyli na spaloną słońcem trawę dookoła barbeque. Nagle Jan powiedział:

- Moi koledzy wrócili do Polski. Na „Błyskawicy”. Wszystkich ich zamknęli do więzienia.

To był pierwszy raz, kiedy Jan poddał jej jakiś temat do rozmowy. Podtrzymała ten temat skwapliwie. Wreszcie się ożywił!

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Seweryna pisała.

Od swojej najmłodszej siostry, Seweryny, Jan otrzymywał listy nieczęsto. Tuż po wojnie wysłał jej jakieś lekarstwa, a potem dostawał od niej kartkę – zbiorowe życzenia od całej rodziny – na każde Boże Narodzenie.

- Wiesz - powiedziała Mary - wszyscy dawni żołnierze i marynarze maszerują co roku na *Anzac Day* w pochodzie, obwieszeni medalami. Polacy też. Ty też byłeś ranny na wojnie, należy ci się odznaczenie. Dlaczego nigdy nie starałeś się o nie?

Powiedział z powątpiewaniem:

- Nie wiem, czy mi się należy.

- Trzeba się dowiedzieć!

- Sheila mówiła - jego oczy się zaszklily - że to głupi pomysł. Nie wypada dopominać się o medal.

- Jak to, nie wypada! Kto wie, że ty jesteś w Australii? Może cię szukali, żeby ci dać ten medal, a nie mogli cię znaleźć.

Poweselał, ale pokręcił głową:

- Nie warto. Gdyby Sandra żyła... to jeszcze.

Wracając do domu Mary myślała:

Gdyby Sandra żyła... na pewno dowiedziałyby się, czy ojcu nie przyznano jakichś odznaczeń. Ale Sandry nie ma. A matka uważała, że to głupie. No cóż, zobaczymy, czy rzeczywiście!

Zaczęła od kilku telefonów. Pierwszy - do Ligi Emerytowanych Wojskowych, RSL. Drugi - do Ministerstwa do Spraw Weteranów. Podała im kilka podstawowych informacji - i otrzymała adres w Anglii.

Zdała sobie sprawę, że informacji ma za mało. Czy Jan zdoła sobie coś więcej przypomnieć? Odtąd, ile razy sprzątała jego dom, a on siedział w fotelu i patrzył na jej krzątanie, jednocześnie zadawała pytania. Jednego dnia, akurat kiedy nurkując pod stołem usiłowała sprząć z dywanu resztki jedzenia, usłyszała niebywałą historię:

- Kiedy to mogło być...? Eskortowaliśmy *Queen Mary* przez Atlantyk, z Ameryki do Europy. To był duży konwój. Jeden z małych okrętów zderzył się z nią, nie zrobił dziury pod wodą, ale wyżej, uszkodził jej burtę. Byliśmy blisko i wszystko widzieliśmy.

- Coś podobnego! Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Kapitan zebrał nas wszystkich i kazał przysięgnąć, że nikt nic nie powie. Sekret.

- Pewnie! - Mary zafascynowana tą myślą wychyliła się spod stołu - gdyby Niemcy się dowiedzieli! Śmiech na cały świat. Taka okazja dla propagandy!

- Nikt słowa nie pisnął. Gazety też nie miały prawa tego podać.

Ale w archiwach - pomyślała Mary - *gdzieś w brytyjskich archiwach jakaś wzmianka o tym pewnie jest?*

- W którym to było roku? - zapytała. - W 1942? W 43?

Bezradnie wzruszył ramionami:

- Nie pamiętam.

Nikt nigdy nie zachęcał Jana do snucia marynarskich opowieści, tylko ona, Mary. A teraz, raz już zacząwszy, opowiadał chętnie:

- Wiesz, co to znaczy *Błyskawica*?

- *Lightning* - odpowiedziała, bo to już dawno zdążyła sprawdzić w słowniku. - To musiał być bardzo szybki okręt, prawda?

- O, bardzo dobry okręt, bardzo szybki. - Zatrzymał się, zmarszczył brwi, a potem rzekł: - Raz ścigaliśmy się z Niemcami. Próbowali nas dogonić. To był *Graf Spee*, miał dużo więcej dział, niż my. Dwa dni siedział nam na rufie, próbowali strzelać, ale byli za daleko i nie mogli się zbliżyć! W końcu my byliśmy szybsi.

- Gdzie to było?

- Na Atlantyku. Dopłynęliśmy do Montevideo, żeby zatankować paliwo i wziąć wodę i żywność. Patrzymy - a tu *Graf* też wpływa. Cała załoga na burcie. Udali, że nas nie widzą. To był neutralny port. Drugiego ranka już ich nie było. I już ich nigdy nie spotkaliśmy.

Od razu tego samego wieczora Mary sprawdziła w „*Britannice*” - i owszem, był tam hasło *Graf Spee*. To był słynny okręt, robił 25 węzłów. Znalazła całą historię o tym, jak to w 39-tym roku cała grupa angielskich ścigaczy próbowała bezskutecznie pokonać *Grafa Spee*, gdzieś niedaleko Montevideo. Potwierdzało to opowieść Jana. Jeśli *Błyskawica* naprawdę potrafiła wystrychnąć *Grafa* na dudka, no, no...

Minął miesiąc - i Mary dostała z Anglii krótki list z prośbą o przysłanie im

świadczenia urodzenia Jana. Skąd je wziąć? Jeśli nawet było gdzieś w rodzinnych papierach, to Charlie trzymał je pod kluczem. Jej brat był wściekły, kiedy Jan wspomniał mu o jej wysiłkach.

- Bzdury! - powiedział podobno. - Ja nie będę do tego przykładła ręki. Przecież ci to do niczego nie potrzebne. Mary tylko robi zamieszanie.

Mary zdecydowała, że napisze do Seweryny. Tylko... jak? Nie знаła żadnych Polaków w Perth, nikt nie mógł jej pomóc. Poszła więc do biblioteki miejskiej, wzięła z półki największy słownik, jaki tam mieli i napisała krótki list. Wyszedł z tego zlepek polskich słów pozbawiony wszelkiej gramatyki, ale jakimś cudem Seweryna pojęła, o co jej chodzi - i przysłała żądany dokument! Dołączyła do niego list... i tu Mary była w kropce. Siedziała nad nim godzinami, ale nic nie mogła zrozumieć, oprócz „dziękuję”: *thank you*.

Znowu zaczęła nękać telefonami różnych znajomych i nieznajomych ludzi, aż ktoś skontaktował ją z George`m. George, starszy pan i były żołnierz, miał poczucie humoru i szacunek dla ludzi, którzy naprawdę czegoś chcą. Cierpliwie tłumaczył jej listy, które Mary przywoziła mu odtąd co kilka tygodni. Jan nie mógł sobie z nimi poradzić. Mary ze zdziwieniem zauważyła, że Jan niewiele z listów Seweryny rozumie.

Przechodząc przez frontowy trawnik pomyślała: *Znowu trzeba podlać. Jan w ogóle już o to nie dba. Lato się kończy. Już niedługo będzie więcej deszczu, to dobrze. Zaraz poszukam ogrodowego węża i zmuszę Jana, żeby wziął się do roboty.*

Otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do środka.

- Halo, Janie, jestem! - zawołała. - Trzeba otworzyć okna, bo straszny tu zaduch.

Leżał na łóżku w sypialni, nie ruszył się na jej widok. Patrzył w sufit.

- Janie - dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

- Mam list z Londynu, zaraz ci przeczytam. Wstaniesz?

Podniósł się powoli, z trudem, usiadł. Siadła obok i wyciągnęła z torebki urzędowe

pismo z ozdobnym nagłówkiem.

- Tu piszą - powiedziała - że dziękują za przysłanie im dokumentów. Sprawdzili wszystko w *War Office* i tutaj masz - pomachała triumfalnie arkuszem papieru - formularz i musisz to wypełnić, bo to przecież ty występujesz o uznanie wojennych zasług, nie ja, i musisz wszystko podpisać - o, tutaj. Widzisz, sprawa jest w toku.

Patrzył na papiery i nic nie mówił. (...)

Silver Chain był instytucją państwową. Pielęgniarki przyjeżdżały doglądać starych i chorych ludzi. Kosztowało to niewiele albo nic - państwo dopłacało.

- Ależ ty nie jesteś niedołązny! Całkiem dobrze sobie radzisz. Ja przecież ci sprzątam. Masz czyste ubrania i pościel, bo robię i pranie i prasowanie!

- Charlie nie chce, żebyś tu przychodziła.

- On mi nie może zabronić. Jesteś moim ojcem tak samo, jak jego. Mam prawo i obowiązek się tobą opiekować. - Objęła Jana ramieniem. - Chyba, że ty też nie chcesz, żebym przychodziła?

Pogładził jej rękę.

- Jesteś dobra dziewczyna. I Mandy też przychodzi. A Bill podarował mi nową laskę - pochwalił się. Mary rozjaśniła się. Powiedziała:

- Widzisz, taka powinna być rodzina. A ja mam dla ciebie niespodziankę. Nie, nic do jedzenia. Tutaj jest numer telefonu do Poznania, do Seweryny. Chcesz, to zadzwonimy?

Patrzył z niedowierzaniem, jakby przestraszony.

- No, chcesz porozmawiać z Seweryną?

Zrobił ruch, jakby chciał ją powstrzymać, ale już brała się do wykręcania numeru. Masa była tych cyfr, potem długi ciąg jakichś brzęczeń i odgłosów, wreszcie sygnał - i kobiecy głos po tamtej stronie:

- Halo?

- *Severina*? Tu Mary. Mary! Australia. Mówić Jan. Brat. Jan.

I wepchnęła oszołomionemu Janowi słuchawkę do ręki. Wziął ją niepewnie. Z tamtej strony zaszumiało, rozświergotało się radosnym potokiem słów. Jan rozjaśnił się, uśmiechnął i słuchał, słuchał... Potem chrząknął i głosem, który brzmiał inaczej, nie jak jego własny głos, powiedział kilka słów, miękko i łagodnie, niepewnie i cicho. Potem powtórzył to głośniej. A potem oddał słuchawkę Mary. Powiedziała do Seweryny:

- Dziękuję, *Severina*. My kochać Jan. Dziękuję. Do widzenia. Do widzenia.

A potem złapała Jana w pól i próbowała tańczyć z nim po mieszkaniu, ale był to wysiłek beznadziejny, bo Jan był ciężki i ruszał się jak słoń.



Konrtorpedowiec „Blyskawica”.

Dwa dni później Jan zadzwonił do Mary. To była cudowna niespodzianka, bo Jan nigdy nigdzie nie telefonował.

- Mary - powiedział - chcę jechać do Poznania, do domu.

Popędziła do niego następnego dnia jak na skrzydłach, ale Janowi jakoś przeszedł już wczorajszy zapal.

- Trzeba załatwić ci paszport. Pomogę ci.

Pokręcił głową.

- Dlaczego nie? O co chodzi?

- Wilson mówi, że nie mogę jechać.

- Janie, możesz robić, co tylko zechcesz! - Chciało jej się płakać. - Jesteś wolnym człowiekiem, ty sobą sam rządysz, Janie! A paszport załatwia się bardzo prosto. Trzeba tylko dwa zdjęcia, gdzieś przecież masz te robione zeszłego roku...?

Na podjazd wjechał mały niebieski samochód.

- *Silver Chain* - powiedział Jan.

Z samochodu wysiadła duża kobieta o energicznych ruchach. Płaskie obcasy, długi, mocny krok. Weszła, uściśnęła rękę Mary i przedstawiła się:

- Jestem Christine.

Mary spojrzała uważnie: piegowata, szeroka twarz, białe zęby, roześmiane oczy.

- Szkotka?

- Szkotka.

- Cudownie, że właśnie przyjechałaś. Poświadczysz nam prawdziwość tych zdjęć?

Christine popatrzyła na zdjęcia i na Jana:

- Ten sam. Poświadczę.

O nic więcej nie pytała, a Mary poczuła, że w Christine będzie miała sprzymierzeńca.

Przeciętny Australijczyk mógł złożyć podanie o paszport na każdej poczcie. Urzędnik pocztowy poświadczał zgodność podpisu - i dalej sprawa załatwiała się sama, a gotowy dokument listonosz przynosił do domu.

W wypadku Jana rzecz nie była taka prosta. Mary napisała do Ministerstwa Imigracji uprzejmy list z zapytaniem, czy będzie można uzyskać paszport na podstawie kopii polskiego aktu urodzenia oraz angielskiego *War Record* czyli świadectwa uczestniczenia w II Wojnie Światowej? Taki dokument z wyliczeniem wszystkich okrętów wojennych, na jakich Jan pływał podczas wojny, otrzymała z Londynu razem z wiadomością, że Janowi przyznano pięć odznaczeń. Pędziła wtedy do Jana w deszczu, po śliskich jezdniach, przekraczając szybkość. Od progu wołała:

- Janie, przyznali ci pięć medali! Nie jeden - pięć!

Teraz mogła tego dokumentu użyć do przekonania australijskich władz o tożsamości Jana. Wiedziała jeszcze, że Jan Rogacki był naturalizowany w UK w roku 1959. W liście pytała, czy wolno jej będzie występować w imieniu jej ojczyma, który jest starym człowiekiem.

Któregoś ranka miły żeński głos zakomunikował jej przez telefon:

- Proszę nam przysłać wszystkie posiadane przez pana Rogackiego dokumenty i podpisany przez niego kwestionariusz paszportowy. Nie powinno być z tym żadnych trudności.

Dwa tygodnie później Christine powitała ją na progu domu Jana z dziwnym wyrazem twarzy.

- Znowu jakieś obraźliwe listy do mnie od mego brata? - zapytała ją Mary. Christine bowiem była świadkiem tej całej wojny nerwów i nie ukrywała przed Mary, że motywy dziwnego zachowania młodszego pana Wilsona są dla niej niepojęte, a jego formy - niegodne dżentelmena.

Tym razem poprowadziła Mary bez słowa do jadalni, gdzie na ścianie, na eksponowanym miejscu wisiał oprawiony w ramki dokument oświadczający, że *żaden*

podpis złożony przez Jamesa Wilsona nie ma mocy prawnej, gdyż został on urzędowo uznany za osobę o zmniejszonej poczytalności, na podstawie opinii autorytetów medycznych.

- Co to jest?! - krzyknęła Mary z niedowierzaniem. Christine powiedziała spokojnie:
- Pan Charles Wilson sprowadził lekarza, który odbył rozmowę z Janem, wydał odpowiednią opinię o jego zmniejszonej poczytalności - i oto rezultat.
- Co za podłość - powiedziała Mary ze ściśniętym gardłem. - Gdzie jest Jan? Co on na to?!
- Obawiam się, że nie do końca docenia wagę tego, co się właśnie stało. I raczej nie wyprowadzaj go z błędu, Mary. To jest stary człowiek, po co miałby być bardziej nieszczęśliwy.

Mary poczuła, że jej duszno.

- Kto był przy tej rozmowie?
- Nie wiem. Ja nie. Pan Charles sam mi o tym powiedział.
- Podły, och, podły! Wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać. Na pewno nikt biednego Jana nie uprzedził i nie wyjaśnił mu, o co chodzi. On jest taki nieśmiały wobec obcych ludzi! A do tego - przecież on tak niewiele mówi - i angielski nie jest jego rodzimym językiem - och, przecież on naprawdę nie jest niepoczytalny!!!
- Wszyscy wiemy, że nie jest. Ale z tego wynika, że nie może decydować o sobie. Obawiam się, Mary, że nie możesz już nic zrobić.
- Och - krzyknęła Mary z furią - jeszcze zobaczymy! Na razie - pobiłam go o tydzień! O siedem dni.

Rozdział 5 ukaże się w poniedziałek 24 kwietnia 2017 r.

Karola Wojtyły sztuka słowa

Słowo — odwieczne widzenie i odwieczne wypowiedzenie. Ten, który stwarzał, widział — widział, „że było dobre”, widział widzeniem różnym od naszego, On — pierwszy Widzący — Widział, odnajdywał we wszystkim jakiś ślad swej Istoty, swej pełni — Widział (...).

Jan Paweł II „Tryptyk rzymski”.

**Rozmowa z prof. Mirosławą Oldakowską-Kufłową
z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.**



Jan Paweł II, fot. Grzegorz Gałązka, East News

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Literatura piękna tworzona przez Jana Pawła II jest bardzo bogata. Czy można w niej wyróżnić wyraźne progi, jako kolejne etapy w

rozwoju tej literatury?

Mirosława Oldakowska-Kuflowa: W twórczości Jana Pawła II wyróżniłabym właściwie tylko dwa okresy - okres młodzieńczy, a potem już okres dojrzały. W okresie dojrzałym Karol Wojtyła odpowiada swoją twórczością na kolejne przeżycia i kolejne doświadczenia. Ale trudno powiedzieć, że to są fazy. Niektóre aspekty się powtarzają, przeplatają. Ciekawi go, co tak naprawdę dzieje się we wnętrzu człowieka. W latach 1945-50, jeszcze mocno związany z teatrem, pisze dramat „Brat naszego Boga”, w którym przedstawione jest odejście od sztuki Adama Chmielowskiego, albo dojście do sztuki wyższej, sztuki, w której artystą jest sam Bóg, a człowiek jest tworzywem przez niego kierowanym. Może to być pewien próg w rozumieniu roli sztuki i literatury.

JSG: Czy patrząc całościowo na literaturę Jana Pawła II można w niej wyróżnić jeden wspólny mianownik?

MOK: Poezja Karola Wojtyły jest poezją wysokiego lotu, wielopłaszczyznową. Przyglądając się badaniom nad tą literaturą widać wyraźnie, że każdy z badaczy podchodzi do niej z własnym narzędziem, czy sposobem widzenia i odnajduje wspólny mianownik czasami w bardzo różnych aspektach. Jest to poezja myśli, głęboko docierająca do wnętrza człowieka i intelektualna. I to może być wspólny mianownik. Jest poezją doświadczenia wewnętrznego i to też jest wspólny mianownik. Występuje w niej relacja człowieka z Bogiem, syntetyczne widzenie biblijności od pierwszych ksiąg, aż po eschatologiczną i w tym wymiarze jest głęboko biblijna. Powtarzają się w niej symbole i archetypy, np. źródła, wędrówki, spotkania. Wspólny jest sposób syntetyzowania szerokich płaszczyzn, szerokich pól semantycznych i kulturowych. Wyraźnie widać w niej zakorzenienie w tradycji - przede wszystkim romantycznej i neoromantycznej. Można więc znaleźć wiele mianowników, dlatego poezja ta jest tak wielowarstwowa i głęboka.

JSG: Czy analiza tekstów Jana Pawła II to trudne zadanie dla badacza literatury?

MOK: Jest to twórczość trudna w kilku aspektach. Przede wszystkim dlatego, że jest ona usytuowana na pograniczu literatury i religii. I chociaż w Polsce już mamy dobrze wypracowane narzędzia do badania tego pogranicza, to spotkanie sztuki z nieuchwytną rzeczywistością nadprzyrodzoną zawsze będzie problemem trudnym do

badania i domagającym się jakiegoś faktu, wycucia, precyzji, Po drugie, wszyscy piszący o twórczości papieża zgadzają się z tym, że wymaga ona wysiłku i cierpliwości, ze względu na jej intelektualizm, zakorzenienie filozoficzne, sięganie do tradycji. Poza tym wszystko, co rozgrywa się we wnętrzu człowieka odgrywa w niej tak ważną rolę, opiera się w dużej mierze na duchowości karmelitańskiej, wpływa z praktyki w Teatrze Rapsodycznym itd. Jest w niej więc takie zagęszczenie różnych sensów, że literatura ta musi być trudna.

JSG: Dlaczego Pani zainteresowała się twórczością Jana Pawła II?

MOK: Na początku zaciekało mnie, że oto nowo wybrany papież (byłam wtedy jeszcze studentką) również pisze i tworzy poezję. Ale przy pierwszym podejściu niestety poniosłam porażkę, bo była to dla mnie poezja za trudna. Potem jednak przyszła chęć znalezienia swojego klucza do tej twórczości, dowiedzenia się, co w niej tak na prawdę jest, co stanowi jej istotę. Takie też miałam podejście do innych trudnych poetów, np. do Miłosza, przez którego na początku nie mogłam przebrnąć. No i zaczęłam się wgłębiać w te wszystkie warstwy filozoficzno-intelektualne twórczości Karola Wojtyły, a czym głębiej wchodziłam, tym ogarniała mnie większa fascynacja i zauroczenie tym, co w niej odnajdywałam, tym całym bogactwem myśli.

JSG: Mówiła Pani, że twórczość Jana Pawła II sytuuje się na pograniczu literatury i religii. Jak wobec tego kształtują się te relacje pomiędzy religią a literaturą?

MOK: Trudno tu mówić o relacjach. Literatura i religia przenikają się na bardzo głębokich poziomach. Literatura schodzi do głębi człowieka, sztuka jest także penetrowaniem wnętrza, musi więc się stykać z obecnym tam Bogiem. Tak więc te obszary głęboko się zazębiają. W tym kontekście w twórczości Jana Pawła II widać też różne fascynacje chociażby św. Janem od Krzyża, czy sztuką hiszpańską, która w głębi ludzkiego wnętrza jest w stanie odnaleźć bożą obecność. Wchodzą tu też w grę jego filozoficzne i teologiczne przekonania, jest tam także fenomenologia. Posługując się podejściem fenomenologicznym, które bada zjawiska, tak jak one się jawią, bez wszelkiego rodzaju założeń, Jan Paweł II pokazuje, jak on prowadzi obserwacje ludzkiego wnętrza u siebie, ale także w doświadczeniu innych ludzi, którzy się odkrywają.

JSG: Literatura odgrywała w życiu Jana Pawła II na pewno ogromną rolę skoro jako

pierwszy kierunek studiów wybrał filologię polską i całe życie pisał teksty literackie. Czym dla niego było słowo literackie, przekaz literacki?

MOK: Jego poezja wynika też w dużej mierze z praktyki teatralnej w Teatrze Rapsodycznym, gdzie Słowo odgrywało dużą rolę. Musimy pamiętać, że w tamtym czasie teatry awangardowe odchodziły od słowa, to były teatry gestu, gry aktorskiej, mimiki, scenografii, symbolu scenicznego. Natomiast Teatr Rapsodyczny pod względem technicznym był ubogi, natomiast był to teatr Słowa. I to, co się działo na scenie, działo się właściwie w przestrzeni słowa. Samo słowo „rapsodyczny” oznaczało, że Słowo dzieje się na scenie. Po praktyce w teatrze słowa, Karol Wojtyła przeżywa swoje powołanie kapłańskie, zaczyna potajemnie studiować teologię. Nasi sąsiedzi ładnie tłumaczą źródłosłów słowa teologia – bogosłowie, czyli nauka o słowie bożym. A więc spotykają się tu fascynacje zarówno słowem wykreowanym przez teatr, jak i słowem bożym. Ale myślę, że trzeba powiedzieć i więcej. U Karola Wojtyły widać wielką fascynację słowem jako tą dziedziną sztuki, która jest mu najbliższa. A sztuka w ogóle była mu przecież bardzo bliska. W dramacie „Brat naszego Boga” jest taka piękna dyskusja różnych artystów o tym, czym jest sztuka. To go pasjonuje.

Natomiast przekaz literacki jest dla niego przekazem myśli, skoro słowo jest odczytywaniem, czy nazywaniem tego co dzieje się w przestrzeni myśli, w przestrzeni rozumienia człowieka, w przestrzeni poznawczej, poszukiwaniem poznawczym, w którym sięga się do głębi swoich myśli, swojego poznania także.

JSG: Jaką rolę według Jana Pawła II odgrywać miała literatura w życiu człowieka?

MOK: Tutaj sięgnę do tego, co artyści mówią o sztuce, w dramacie „Brat naszego Boga”. Sztuka tam jest pokazana jako studium siebie samego, jako wewnętrzne przetwarzanie doświadczeń, jako szansa na dojrzewanie człowieka, a także jako sposób na kontaktowanie się artysty ze społeczeństwem. Najwyższą rolę sztuki, taką najbardziej szlachetną ukazuje postać Pani Heleny, która w pierwszej wersji dramatu nosiła imię „Pani, mająca władzę katharsis”. Helena mówi, że ona pośredniczy między pięknem transcendentnym a człowiekiem, który może dzięki niej tego piękna doznać i przeżyć je. Artystka zawsze płaci za ten przekaz pełną cenę, za każdym razem musi włożyć całą siebie, ażeby przez swoje uczestnictwo w akcie twórczym,

akcie nadprzyrodzonym dawała udział w tym pięknie także i innym. Myślę, że w rozumieniu ludzkim jest to najwyższe rozumienie sztuki, skoro „Pani mającej władzę katharsis” takie słowa Karol Wojtyła wkłada w usta. Choć najwyższy rodzaj sztuki, ma dla Jana Pawła II miejsce wtedy, kiedy artystą jest Bóg, a człowiek jest tworzywem. Sztuka jest wtedy symbolem tego, co może się stać w przestrzeni relacji człowieka z Bogiem.

JSG: Czego wobec tego Jan Paweł II oczekuje od artystów?

MOK: Jan Paweł II uważa, że sztuka powinna nieść radość i nadzieję, literatura nie powinna pogrążyć człowieka w beznadziei, w pesymizmie, w smutku. W rozważaniach na temat istoty sztuki, prezentuje różne stanowiska, oprócz jednego, nie ma dla niego sztuki dla sztuki, cyzelowania słowa dla samego cyzelowania. I zawsze zachęcał artystów do niesienia nadziei, nie w sensie łatwego optymizmu, bo uważa, że należy poruszać głębokie problemy, ale niesienie optymizmu jest według niego zadaniem sztuki.

JSG: Do jakich obszarów kulturowych, tradycji literackiej czy filozofii odwołuje się Jan Paweł II w swojej twórczości?

MOK: Twórczość Jana Pawła II wyrasta głęboko z tradycji romantycznej. Ale nie z kultu romantycznej jednostki, która mówi prorocze słowa, tak jak Kordian, czy Konrad z Wielkiej Improwizacji. Z romantyzmu bierze psychomachię, tę potężną walkę pomiędzy walczącymi o człowieka siłami, siłą dobra i siłą zła. Jest np. taka piękna scena w dramacie „Brat naszego Boga”, kiedy Adam Chmielowski rozmawia z Tamtym, ukazanym jako cień rzucony przez Adama na uliczny mur, przy którym przechodzi. Tamten próbuje się podszyć pod jego świadomość i jaźń. Adam rozmawia z cieniem i mało brakuje, a uwierzyłby, że Tamten jest rzeczywiście wewnętrznym ośrodkiem jego świadomości. W pewnym momencie spostrzega pod latarnią słaniającego się człowieka. I nagle odkrywa obraz i podobieństwo Boga. Pod latarnią, na ulicy, dokonuje się teofania. Adam mówi: „Teraz Cię poznaje, nie możesz być mną (...) zwierciadło świata świeci ogromną pustką”. Ta scena wyraźnie nawiązuje do romantyzmu - zwierciadło świata, pustka, rozmowa z cieniem, psychomachia, ale na jakże innych, głębszych poziomach się rozgrywa.

Oprócz obszarów tradycji romantycznych i neoromantycznych, Jana Pawła II

pasjonował Wyspiański i dużo z niego czerpał. Ale obok tradycji literackiej widać wyraźnie wpływ teologii Jana od Krzyża, doświadczenia mistycznego, które jest tak niezmiernie ważne i filozofii, zarówno tej klasycznej, gdzie definiowane są podstawowe pojęcie bytu jako dobra życia człowieka, jak i metody od metody fenomenologicznej obserwacji, gdy sam staje się i podmiotem, i przedmiotem obserwacji.

JSG: Jakie aspekty twórczości Jana Pawła II są Pani najbliższe?

MOK: W moich badaniach zajmowałam się przede wszystkim biblijnością tej twórczości. Pojawiają się tam zarówno przypowieści, jak i odniesienia do Eucharystii. Jan Paweł II przekazuje bardzo głębokie myśli w krótkim obrazie poetyckim, nawiązując do szeregu miejsc-obrazów. Człowiek pokazany jest od początku, od tego jak wyszedł jako syn Boży z rąk Stwórcy, aż do eschatologii, do czasów ostatecznych. W twórczości tej jest podążanie myślą za teologią św. Pawła. I właśnie wyszukiwanie tych wielopłaszczyznowości biblijnych, najbardziej mnie pasjonowało. Spotkanie słowa poetyckiego ze słowem objawionym i dokonywanie się syntezy tych dwóch płaszczyzn, chyba mnie najbardziej pociąga.

JSG: Czy spotkała się Pani z Janem Pawłem II?

MOK: Znałam Jana Pawła II przede wszystkim z jego pielgrzymek. Miałam bliskie kontakty z racji mojego zaangażowania w różne działalności w Archidiecezji Krakowskiej, ale nie zapamiętałam szczególnie żadnego z tamtych momentów. Bardzo silnie zapamiętałam jeden, jeszcze z okresu przed papieskiego. Przypadkowo znalazłam się w Kaplicy Sykstyńskiej, wówczas, gdy rozpoczynało się konklawe, na którym wybrano Jana Pawła I. Pamiętam jak do Kaplicy Sykstyńskiej wchodzili kardynałowie, m.in. prymas Wyszyński i Karol Wojtyła. Wokół były grupy Polaków, którzy pozdrawiali naszych kardynałów. Prymas Wyszyński reagował na pozdrowienia, odwracał się błogosławił. Natomiast Karol Wojtyła siedł niezwykle skupiony, ze wzrokiem utkwionym w posadzkę, ze złożonymi rękami i nie reagował, jak gdyby zostawił Prymasowi odpowiedzi na pozdrowienia Polaków. To jego skupienie było dla mnie tak uderzające, że pamiętam je do dziś. To jest dla mnie ważny moment i niejako symboliczny.

JSG: Czy mogłaby Pani zacytować jeden ze swoich ulubionych utworów poetyckich

Jana Pawła II, lub jego fragment?

MOK: Mam takie ulubione króciutkie sentencje jak chociażby „Daj się kształtować myśli”, ale proponowałabym zacytować fragment, który nie jest taki trudny. Jest to „Pieśń o Bogu ukrytym”, jeden z pierwszych utworów w dojrzałej twórczości Karola Wojtyły. Doznający przeżycia mistycznego podmiot zostaje odsunięty, staje na uboczu, a w centrum znajduje się Trójca Święta. Uważam, że jest to jeden z ważniejszych utworów w polskiej poezji, dotyczącej chrześcijańskiego przeżycia mistycznego, gdzie człowiek jest świadkiem życia wewnętrznego Trójcy Świętej. Poetycko został tu oddany dialog Ojca i Syna. Są pełne miłości słowa Ojca, które kieruje do Syna, i Syna, który odpowiada Ojcu. A i wszechogarniający Duch Święty, ta najbardziej tajemnicza postać Trójcy Świętej, też tam jest obecny.

*Synu, kiedy odejdiesz, wzbierająca głębio odwieczna,
w której wszystko ujrzałem -
Ojcze, Miłość oznacza konieczność
wzbierania chwałą.*

*Synu, spójrz, niedaleko od Twojej jasności
jest kłosew dojrzałe pęcznienie -
Przyjdzie dzień, gdy odejmą Ci blask,
kiedy jasność Twą wydam ziemi.*

*Ojcze, spójrz, niedalekie od mojej miłości
jest me spojrzenie,
którym ogarniam odwiecznie
ten dzień wzbierającej zieleni.*

To był tylko fragment, ale polecam całą tę 14 część „Pieśni o Bogu ukrytym”, która dopiero w całości te wszystkie sensory zbiera.

JSG: Jak Karola Wojtyłę wspominają ci pracownicy KUL-u, którzy go pamiętają, jako wykładowcę sprzed lat?

MOK: Wspomnień tych jest bardzo dużo i są różnorodne. Jedni wspominają, że poszli na wykłady Karola Wojtyły, bo zaczęło się o nich mówić, że są ciekawe, że warto

posłuchać. Inni mówią, że wykłady te były dla nich bardzo trudne i pamiętają zmaganie się z trudnym teologicznym i filozoficznym językiem, jeszcze inni mówią o wykładach fascynujących. Niektórzy przypominają, że gdy Karol Wojtyła zatrzymywał się w Lublinie na noc, odwiedzał swoich przyjaciół w ich domach i prowadzono długie dyskusje filozoficzno-etyczne. Wspomina się go, że miał wielką prostotę w kontakcie z ludźmi, ale i zawsze duży ładunek intelektualny. Nieżyjąca już pani profesor Leokadia Małnowiczówna, filolog klasyczny, wspominała, że kiedy dojeżdżał jako biskup na KUL, całą profesorską pensję oddawał na potrzeby ubogich studentów, albo na inne cele charytatywne. Biskup nie musiał się martwić o wyżywienie w Kurii Biskupiej, a na KUL-u studiowało wielu ubogich studentów. Wspomina się także, że gdy miał przerwę pomiędzy wykładami, to bardzo często można było go zobaczyć, że odwraca się do ściany, żeby się nie rozpraszać i modli się, przeznaczając tę krótką chwilę na rozmyślanie, na kontakt z Bogiem. To taka garść wspomnień.

Słowo, zanim zostanie wypowiedziane na scenie, żyje naprzód w dziejach człowieka, jest jakimś podstawowym wymiarem jego życia duchowego. Jest wreszcie ukierunkowaniem na niezgłębioną tajemnicę Boga samego. Odkrywając Słowo poprzez studia literackie czy językowe, nie mogłem nie przybliżyć się do tajemnicy Słowa - tego Słowa, o którym mówimy codziennie w modlitwie Anioł Pański - Jan Paweł II, „Dar i Tajemnica”.

Muza Zaświecia i jej matka

Władysław Pomarański

We Lwowie byłem krótko, bardzo krótko, tylko dwa dni. Byłem tam kilka lat temu w czasie mego pobytu w Polsce. Słyszałem przed wyjazdem z różnych opowieści, że miasto jest zaniedbane, brudne, odrapane, że Ukraińcy robią wszystko, by je zmarginalizować, by go odciąć od historii, by mu ująć co się da z jego dawnej,

polskiej krasy. Zaskoczenie moje było totalne. Lwów mimo zaniedbań ze strony władz miejskich i państwowych jest kolorowy, czysty, pełen życia, z cudowną operą, kilkoma innymi teatrami, ogromną ilością muzeów, pełen przytulnych kawiarenek, starych tradycyjnych restauracji, a przede wszystkim zadziwia swym niezwykłym bogactwem architektonicznym. W tym średniej wielkości mieście położonym na obrzeżach kraju, znajduje się tu ponad połowa zabytków całej Ukrainy.

Deptaki miejskie są pełne turystów, przeważnie Polaków. Nie ma tłoku, nie ma zbytniego pośpiechu, ceny śmiesznie niskie (za bilet do opery zapłaciłem 4 kanadyjskie dolary). Chłonałem to tętno i smaki miasta wszystkim zmysłami. Nie spodziewałem się jednak, że najbardziej emocjonalne przeżycia czekają mnie na Cmentarzu Łyczakowskim i to jeszcze zanim doszedłem do dołączonego do niego Cmentarza Orłąt Lwowskich. Jak bardzo Lwów był polski właśnie tu najbardziej widać. Jeden z pisarzy znalazł na tym cmentarzu 141 nazwisk polskich poetów, ktoś inny mówi, że jest tu pogrzebanych prawie 1000 osób o polskim nazwisku i korzeniach, ludzi znanych i zasłużonych. Aleja Zasłużonych cmentarza to prawie wyłącznie nazwiska polskie i niektóre tak znane i ważne dla kultury polskiej, że już w szkole podstawowej słyszałem o nich. Najwięcej czasu spędziłem przed dwoma nagrobkami: malarza Artura Grottgera i pomnikiem rodzinnym Młodnickich i Wolskich. Pomnik Grotgera zauroczył mnie.



Pomnik nagrobny Artura Grottgera.

Dowiedziałem się później, że to dzieło włoskiego rzeźbiarza Parysa Filippi z centralną figurą na nim pięknej, smutnej, rozmodlonej, zamyślanej kobiety. Stałem przy pomniku wystarczająco długo, by się dowiedzieć, dlaczego na grobie mężczyzny dominującą postacią jest kobieta. Wycieczki, przeważnie polskie, podchodziły i odchodziły, z ust przewodniczek dowiedziałem się, że ta kobieta to jedna z najpiękniejszych kobiet Lwowa, Wanda Monné, wielka miłość Grottgera.

Grottger był synem zubożałego szlachcica, musiał zarabiać na życie wędrując od dworu do dworu malując portrety często niezbyt fotogenicznych właścicieli ziemskich i ich często dość puszystych pań. Sam nie był zbyt urodziwy, wystarczy spojrzeć na jego autoportret. W wolnych chwilach malował i szkicował sceny z tragicznej historii Polski. Te obrazy przyniosły mu sławę, poprzez nie Wanda

najpierw poznała malarza. Twarzą w twarz spotkała się z nim w słynnej Strzelnicy na ulicy Kurkowej na balu, gdy miała 17 lat, on był od niej starszy o około 10 lat. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i to obustronna, niestety idylla ta trwała niepełne dwa lata. Panna Monné to dziecko potomka uciekiniera francuskiego przed Rewolucją i kobiety z bardzo starej sięgającej średniego średniowiecza rodziny nadreńskiej. Obie rodziny były od kilku pokoleń w pełni spolszczone.

Niestety rodzice Wandy rozeszli się, nią zajęła się mama i ciotka. Ciotka Teresa Wentz osoba wykształcona, bogata i szanowana założyła we Lwowie Zakład Naukowo-Wychowawczy dla Panien w budynkach zakonu rozwiązanego przez cesarza austriackiego. Była to wyjątkowa instytucja. Uczyły tam najwybitniejsze damskie osobistości Lwowa, było to też miejsce spotkań polskiej elity tego miasta - to prawdziwa kuźnia polskiego patriotyzmu. Tu Wanda wyrosła na wszechstronnie uzdolnioną, literacko i artystycznie, kobietę. Była prześliczną dziewczyną. Grottger wiedział, że jego życie się kończy, nabawił się gruźlicy płuc, a wtedy to równało się prawie z wyrokiem śmierci. Arystokratyczna rodzina panny nie widziała przyszłości dla Wandy u jego boku, była bardzo przeciwna ich spotkaniom. Spotykali się potajemnie na cichych alejkach Cmentarza Łyczakowskiego, on nawet upatrzył miejsce, gdzie chciałby być pochowany. Wanda słysząc o tym nie chciała, natchnęła go myślą, że ich miłość dokona cudu, że wygrzebie się z choroby. Uwierzył chyba w to. By zapewnić dostatni byt swej wybrance wyjechał do Paryża, bo w owym czasie tylko tam można było zaistnieć jako artysta. Zaistniał - sam nawet cesarz kupił od niego serię obrazów o tematyce wojennej. Ale choroba nie ustępowała. Wanda listownie wymusiła na nim by przeniósł się do sławnego wówczas sanatorium w Pirenejach francuskich. Zrobił to i tam zmarł. Wanda spieniężyła całą swoją biżuterię, wymusiła na rodzinie, by zgodziła się na sprzedaż części jej posagu, sprowadziła jego ciało do Lwowa, pochowała w miejscu, które wskazał; co więcej, wyszła za mąż za najbliższego przyjaciela jej kochanego, też artystę malarza Artura Młodnickiego, bo tak przed śmiercią zażyczył sobie jej „Arthur”. Ciało jej należało do drugiego Artura, dusza zawsze i do śmierci do pierwszego. Drugiemu Arturowi to nie przeszkadzało, sam otaczał zmarłego przyjaciela szacunkiem, graniczącym z uwielbieniem. Ich dom stał się muzeum-świątynią pamiątek po zmarłym. W tym domu-świątyni przyszła na świat Maria, nazywana od dzieciństwa Marylą, temperamentem, wykształceniem i urodą dorównująca swej wspaniałej mamie.



Portret Wandy Monné Młodnickiej i jej kochanego w tle.



Artur Grottger, Autoportret

Dziwi mnie, że o tej wspaniałej, szaleńczej, niespełnionej miłości tych dwojga ludzi nie powstała jakaś powieść czy film. Fabuła jest pełna, nie trzeba niczego podmalowywać, upiększać, a w tym szaleństwie nie ma jakiegoś melodramatu. To najczystsza, najwspanialsza miłość, co potrafi przenosić góry. Fakty są tu piękniejsze od fantazji. Na takie wyżyny potrafią się wznieść chyba tylko nasi Kresowiaczy i to nie tylko w dziedzinie miłości indywidualnej. Dla nich do dzisiaj słowa Ojczyzna, patriotyzm, ofiara i poświęcenie dla Kraju, polskość to ciągle słowa wielkie, święte. W Polsce obecnie deklamują je najczęściej politycy, tak na wyrost, bo ich czyny i życie niekiedy przeczą temu co wypowiadają usta. Słowa te wśród nas tracą znaczenie, stają się coraz bardziej słowami wstydliwymi. Jaka szkoda, że granice oddzieliły Kresowiaków od nas. Tak bardzo jest ich nam brak w naszej obecnej, zmaterializowanej Rzeczypospolitej.

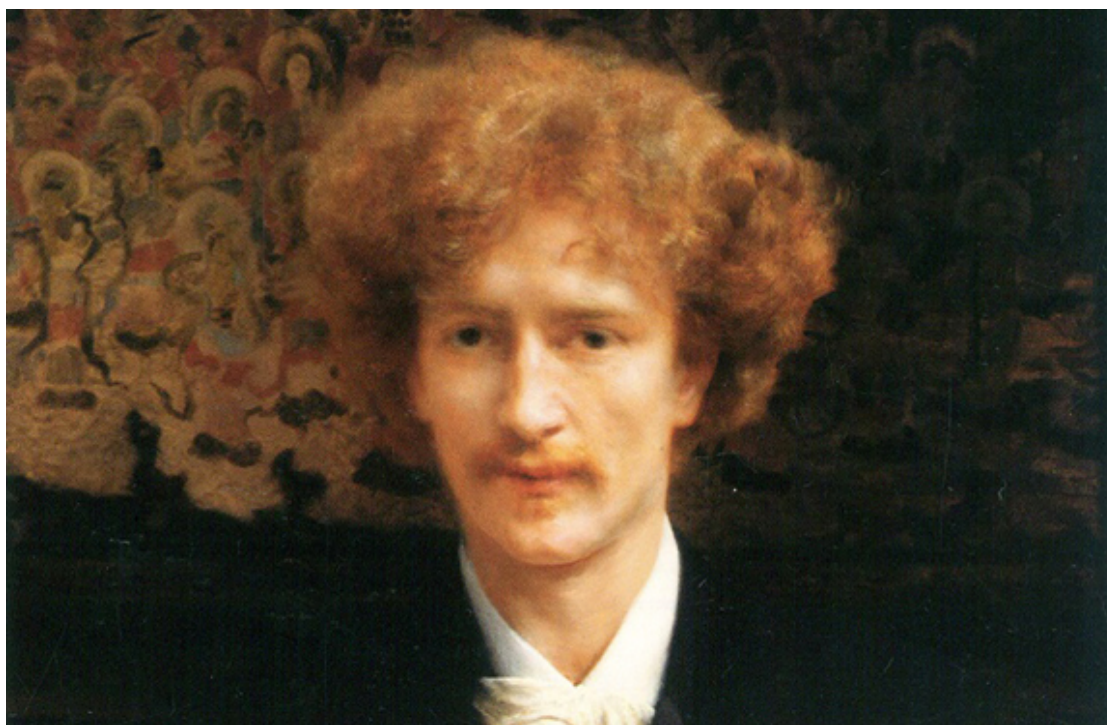


Wanda Monné autorstwa Artura Grottgera.

Mała Marylka pod opieką mamy Wandy Młodnickiej, w zakładzie dla panienek z bogatych polskich rodzin Lwowa i okolic, założonego przez siostrę jej babci, czuła się wspaniale, miała życie „sielskie, anielskie”, była maskotką tej instytucji, znaną całej społeczności polskiej we Lwowie, stanowiła przyszłą doskonałą partię do małżeństwa. Mama przelała całą swą miłość po śmierci Grottgera na nią, dbała żeby ta popularność nie uderzyła jej do głowy, zmusiła ją do intensywnych i wszechstronnych studiów, dbała o jej obycie towarzyskie, prowadziła na wszelkie imprezy patriotyczne. Tak więc to piękne dziecko, obok równie pięknej mamy, stało się od bardzo młodego wieku ambasadorem polskość i patriotyzmu w swoim gronie. Jedną z takich imprez był koncert w 1887 r. we Lwowie Ignacego Jana Paderewskiego. Sala była prawie pusta, bo niewielu wtedy słyszało o tym jeszcze nieznanym pianiście. Czternastoletnia Marylka intelektualnie i emocjonalnie była niemal dorosłą kobietą. Kochała muzykę. Zachwyciła się kompozycjami Paderewskiego i ich wirtuozowskim wykonaniem, ale jeszcze bardziej zafascynowała

ją osoba kompozytora-wirtuoza.

Podobnie jak jej mama, która gdy miała 17 lat, zakochała się w Grottgerze, tak i ona będąc jeszcze młodszą pokochała szaloną, romantyczną miłością Paderewskiego. Pianista miał wtedy 27 lat. Był wysokim, przystojnym mężczyzną z burzą rudopłowej grzywy nad czołem, która szalała na tejże głowie razem z jej właścicielem przy wykonywaniu szybszych utworów. To nie było smarkacze dziewczęce zauroczenie, to była prawdziwa miłość. Paderewski nie wiedział chyba o tym, może się tylko domyślał, bo od tej pory Maryla wykorzystywała każdą okazję by się znaleźć jak najbliżej niego. Szybko stał się sławnym i wyrazy uwielbienia szlachetnie urodzonych dziełatek stały się codziennością w jego życiu. Uwielbienie Maryli traktował jako należną mu daninę, nie miał zamiaru się w niej zakochiwać. Maryla nie odpuszczała. Kiedy Paderewski był zaproszony na odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, znalazła się tam i ona. Była już w pełni dojrzałą kobietą i jeszcze raz chciała przekonać się o swoich uczuciach po dość długim niewidzeniu Paderewskiego.



Ignacy Jan Paderewski, w czasie, gdy go poznała Maryla.

Posłuchajmy, co na ten temat zwierza się Elizie Orzeszkowej:

Wyrwałam się z matką by zobaczyć Warszawę i... Paderewskiego. I przeceniłam swoje siły, zrobiłam źle. Sądziłam, że po latach tyłu... potrafię patrzeć już na niego jak na fatamorganę przeszłości - na widmo snów moich dziewczęcych, które przeszły, a dzień trzeźwy, biały dzień dla mojego życia nastąpił. Ale czar trwa. Kiedy stanął przede mną... miałam wrażenie, którego do śmierci zapomnieć nie zdołam, że mi ten człowiek duszę zabiera na własność.

Duszy nie zabrał, sama mu ją oddała, on nie kwapił się do zabrania ciała. Przypadło ono bogatemu Wacławowi Wolskiemu przemysłowcowi, nafcierzowi, inżynierowi i wynalazcy. Stworzył dla swej nieco szalonej żony wspaniałe warunki bytu. Kupił wielki dom w przeogromnym ogrodzie, w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Lwowa, w pobliżu Cytadeli. Maryla była już malarką i poetką, duszą marzycielską. Dom przy podgórskiej, krętej, małej uliczce odcięty od życia miejskiego gąszczem rozległego ogrodu zachwycił ją, nazwała go „Zaświeciem” - czymś poza zgiełkiem świata. Tu założyła salon dla ludzi kultury. Razem z kilkoma pisarzami, z których najbardziej znanym był Leopold Staff, stworzyła grupkę poetycką zwaną żartobliwie „Płanetnicy” (płanetnik to pół człowiek, pół demon, przesuwający chmury po niebie). Była duszą wszystkich zebrań. Biedni poeci, niektórzy jeszcze studenci, chętnie tu przychodzili nie tylko na obrazoburcze dyskusje, słuchanie nowych utworów poetyckich, ale i dlatego, by się trochę podkarmić. Mąż bardzo się cieszył z tej aktywności swej młodej, uroczej i wyjątkowo pięknej żony. Była prawdziwą muzą ich Zaświecia. Mimo wszystko jej dusza ciągle należała do Paderewskiego. Świadczy o tym choćby ten wiersz miłosny *Ex voto*, a niezbyt znający się na poezji mąż nie domyślał się, że to nie on był jego adresatem:

Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym więcej,

Jak mgłą i snem,

A jednak - w ciszę tę księżycem złotą

Wyciągam ręce z bezbrzeżną tęsknotą

Za widmem twem...



Wacław i Maryla Wolscy.

W kilku podręcznikach literatury polskiej i kilku słownikach do których zajrzałem Maryla Wolska jest wymieniana jako typowa przedstawicielka poezji Młodej Polski, młodszego jej pokolenia. Ten krótki mniej niż 30-letni okres w historii Polski (1890-1918) był jak wybuch wulkanu. Kraj pozbawiony narodowości od stu lat wyrzucał z siebie tłumy geniuszy nie tylko w literaturze, ale w muzyce, sztukach pięknych, architekturze. Co więcej te dziedziny się przenikały: malarstwo przesycone było poezją, poezja zbliżała się do muzyki. W literaturze chodziło o odrzucenie pozytywizmu, materializmu, realizmu, dusza powinna poczuć się wolna, analizować swe subiektywne przeżycia i nastroje. Nastąpiła moda na „nagą duszę” i uprawianie „sztuki dla sztuki”. W literaturze pięknej najbardziej nowatorską była poezja i to tworzona w różnorodnych konwencjach i stylach poetyckich jak neoromantyzm, symbolizm, ekspresjonizm, impresjonizm, nawet dekadentyzm i naturalizm. „Nowymi Atenami” tej burzy artystyczno-intelektualnej był Kraków, ale liczyła się też Warszawa i Lwów. W „Atenach” (Krakowie) zrobiło się ciasno od dziesiątek genialnych twórców, zarówno mieszkańców Krakowa jak i częstych gości. Wymienię tylko kilka nazwisk: W. S. Reymont, L. Rydel, T. Żeleński-Boy. A. Asnyk, J. Kasprówic, K. Przerwa-Tetmajer, S. Żeromski, S. Wyspiański, S. Przybyszewski i dziesiątki innych.

Maryla Wolska miała ważniejsze zainteresowania niż pisanie poezji, a gdy wydała od

czasu do czasu tomik, był to rodzaj jej prywatnego konfesjonału, było to rozgryzanie swej duszy i osobowości, a w trudnych okresach życia powrót do swych cudownych lat młodości. W tomikach *Thème varié*, *Symfonia jesienna*, *Święto słońca*, *Z ogni kupalnych* dominuje poezja bardzo prywatna, zamknięta w sobie, o wysokiej kulturze literackiej, w wyrazie nie tylko dyskretna, ale i subtelna. Motyw niewspółmierności między marzeniem a spełnieniem jest stałym elementem w jej wierszach. Oto jedna zwrotka wiersza ilustrująca te nastroje:

Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,

Woń starych dworów, pustki i lawendy,

Roztwory wielkich szklanych drzwi – bez gości,

Mysł, że tak wiele życia przeszło tędy.

Innym głównym motywem jej twórczości to szukanie drogi życiowej i nieskrępowanej przez nikogo wolności wewnętrznej. Tak to wyraża:

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,

Ścieżką idzie samotna, wolna, jak ptak w lesie,

W pas się słońcu jednemu kłania o poranku.

Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce;

Własna swoja, niczyja, nieznaną nikomu,

W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,

Niby malin, wieczorem, pełen dzban, do domu.

Maryla od dziewiątego roku życia zagrożona była chorobą płuc, dużo czasu z racji leczniczych dla zdrowia spędziła w cudownych okolicach w Sole, potem w Storożkach na wzniesieniu nad rzeką z widokiem szczytów górskich – już jako mężatka przebywała w równie malowniczych Perepelnikach, w dworku i majątku

ziemskim odziedziczonym przez męża po śmierci bezdzietnych kuzynów. Uroki tego miejsca odkryli Płanetnicy - gwaro było w tym dworku w czasach letnich. To miejsce stało się potem przeklętym dla niej miejscem, bo w 1919 r. nacjonaści ukraińscy w bestialski sposób zamordowali jej gospodarującego tam najstarszego syna Ludwika. Zawalił się jej świat. Śmierć goni śmierć. W trzy lata później umiera jej mąż, rok później matka, znowu trzy lata później najmłodszy syn Juliusz. Do jednej z przyjaciółek pisze: „Skończyło się Zaświecie, jest tylko cmentarz”. Został jej tylko średni syn Kazimierz, który po starszym bracie przejął majątek w Perepelnikach. Córka Beata, malarka, wychodzi za zubożalego ziemianina Józefa Obertyńskiego, córka Aniela, poetka, za Michała Pawlikowskiego, członka bardzo zasłużonej rodziny dla kultury polskiej.



Goście Wolskich w Zaświeciu. Stoją Antoni S. Mueller i Józef Ruffer. Siedzą Leopold Staff i Ostap Ortwin, fot. cracovia-leopolis.pl



Maryla Wolska w Storożce.

W okresie dziesięciolecia po r. 1918 Maryla nie tworzyła. Głównym jej zajęciem była walka o przetrwanie swoje i rodziny oraz niesienie czynnej pomocy dla potrzebujących w umęczonym Lwowie. Za pióro chwyciła dopiero w 1929 r. wydając tomik swych najdojrzalszych wierszy p.t. *Dzbanek malin*. Niczego już nie chce od życia, chce wyzwolenia i by jej nowa „ojczyzna” była podobna to tej uroczej z lat dziewczęcych:

Moje niebo musi pachnieć świerczyną,

W moim niebie będą lasy i góry

- I rzeka tam szumieć powinna,

Ta jedna, jedyna ona,

Jak żadna inna Zielona...

Chodzi tu o rzekę spod Storożki. Maryla umiera 25 czerwca 1930 r. nie gdzie indziej, tylko w swoim „Zaświeciu”, który zachował się do dzisiaj, no i pochowana jest nie gdzie indziej tylko na cmentarzu Łyczakowskim. Przed śmiercią zdążyła jeszcze opublikować dwutomowe dzieło listów i pamiętników swej matki i Artura Grottgera, za co historycy, literaci, artyści są jej niezmiernie wdzięczni.

Na wspomnianym cmentarzu długo stałem przed obeliskiem z czarnego kamienia nad grobem tej wspaniałej kobiety i jej równie wspaniałej matki oraz ich mądrych, wyrozumiałych mężów, którzy dyskretnie stworzyli im warunki do pełnego rozwoju. Dumałem nad tym, że matka ziemia nie tylko zabiera urodę, ale i wycisza najgorętsze serca, najwspanialsze umysły. No cóż! „Z prochu jesteśmy, w proch się obrócimy” – to nieubłagane prawo natury.